

ODGŁOSY

ROK XX NR 51 (1045)
18 GRUDNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



Foto: W. Parys

Ryszard Binkowski

OD SOSNY DO CHOINKI

str.10

LISTY STANISŁAWY WYSOCKIEJ DO EMILA ZEGADŁOWICZA

str. 14

Eugeniusz Iwanicki

uczyć się kultury

str. 3

**Dlaczego Żeromski
nie dostał nagrody Nobla**

str. 8

ZBIGNIEW FIGAT

ANDRZEJ GOWARZEWSKI

WIELUNIAKI SIERADZKIE

- Myślisz, że to miejsce jest odpowiednie?
- Uzgodniłobyśmy, że jest to najprawdopodobniej jedyne miejsce w tym mieście i każdy, kogo o nie zapytasz wskaże ci drogę...
- Znalazł się w końcu major?
- Tak. A ten twój doktor jest dobry?
- Mam go czterdzieści minut...
- Puść początek.

„Zobaczymy to miasto właśnie wtedy, pierwszego września. Ale dopiero wieczorem, przed północą. Luna, wielka luna. Nic więcej. I gdzieś daleko, a może blisko, już tego nie słyszę, odgłosy armatnich bomb...”

— Dopiero wieczorem, panie doktorze?

— Tak, rodzice nie budzili mnie, może nie wypadło nawet tłumaczyć. Miałem cztery lata. Łunę zapamiętałem sam, ale dopiero po zmroku. Po latach dowiedziałem się, jak było naprawdę. Pod Wieluniem granica niemiecka wdzierała się ostrym kłosem, stąd było najbliżej do Warszawy. Tędy poszło najsilniejsze uderzenie armii Blaskowitza. Bomby tu spadły jeszcze przed wojną, przed 4.45. To były pierwsze bomby drugiej wojny. O 4.40 rozpoczęli realizację planu „Fallweiss”. Ten nalot lotniczy zniszczył miasto w 75 procentach. Pierwsze bomby na szpital Wszystkich Świętych, pierwsi zabici tej wojny... Jeszcze przed wojną. Tu atakował Legion Condorr. Pan pamięta, ten z Hiszpanii, z trzydziestego szóstego? Ten sam, który zwał Guernikę. Obraz Picassa... Z mojej wsi, z Okolewa, 15 km od Wielunia, a 30 od Sieradza, tak widziałem wojnę... W trzy lata później widziałem Wieluń po raz drugi. Wyszli nas do Niemiec. Kolejka wąskotorowa, miasto zniszczone... Nie, nawet nie było miasta... I po raz trzeci, w czterdziestym siódmym, w czasie powrotu z wygnania, wracaliśmy do domu przez Wieluń. To są strzepy, gdzieś w środku pamiętania, głęboko. Zamazane, niewyraźne, może tylko ta luna...”

— Poczekaj, major Sliwiński o doktorze? — Olejnik to jest człowiek, który spełnia wiele funkcji. Pierwszy raz spotkałem się z nim w 1973 roku. Był radnym. Razem mieliśmy wtedyjechać do miejscowości Dymek. Miał tam być poruszenie sprawy bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Spodobał się sobie i dotąd sympatyzujemy ze sobą”.

Posłuchaj doktora: „Mundur musiałem włożyć. Patrzyłem na Sliwińskiego, na to co robi. Nie tak, aby od razu chwalić. Tylko patrzyłem, z boku. Coraz uważniej, może coraz surowiej, ostrzej. I coraz mniej miałem wątpliwości. Doszedłem do wniosku, że ruch strażacki spełnia daleko większe funkcje niż tylko ogniowe. Tak było dawniej, tak jest teraz. Patrzyłem na Sliwińskiego i jak zaproponował, że może bym w ochotniczych strażach... Nie odmówiłem. Musiałem ten mundur włożyć. Było u Sliwińskiego widać tę młodzież zapalczywą do pracy. To mi zaimponowało. On zresztą przyszedł na miejsce komendanta, Stefana Olejnika, mojego imiennika, choć ja mam na imię Tadeusz, ale bez pokrewieństwa. Tak się złożyło...”

— Oglądałem zbiory doktora. Całe kartoteki informacji, cytatów, notatek. To trzeba zobaczyć. Nie mówił o tym, ale chyba ma w głowie pisanie o strażakach, poważnie. On zresztą, wyczułeś, jest poważny w swej robocie, prawda?! Posłuchaj zresztą.

„Musi pan wiedzieć, że nasza wieluńska straż powstała 15 czerwca 1877 roku, jako jedna z pierwszych w Polsce. Podlegała związkowi ochotników — strażaków w Petersburgu. Byłem tam w 74, późną jesienią, z Pociągiem Przyjaźni. I zaraz, w chwilach wolnych, do archiwum. Najpierw nie chciałem z nią rozmawiać, bo to przecież Archiwum Narodowe, wiadomo, droga służbowa. Ale ja im mówię — ja do was z Pociągiem Przyjaźni, a wy o drodze służbowej? Coś tam miałem z sobą i po chwili mogłem już grzebać w dokumentach. Trzy dni, po kilka godzin. Co to jest? Następnym razem wiem, gdzie szukać. Teraz szukam okazji, aby wyjechać. Ale i tak znalazłem wiele o naszej wieluńskiej. Czy mogłem nie wiożyć tego munduru?”

— Nie wiem czy wiesz, że tydzień temu odbywały się w Wieluniu uroczystości, imprezy, pochody, apele, przemarsze, bankiety, ceremonie, przemówienia. Z okazji jubileuszu stulecia Ochotniczej Straży Pożarnej. Poprosiłem porucznika Wójta, żeby dokładnie zrelacjonował mi ten przebieg uroczystych wydarzeń z ubiegłej soboty i niedzieli.

Doktor mówił, że: „Lalo, siąpiło, ale jubileusz wypadł dobrze. Razem z dożynkami. Na rynku spotkanie. Dobrze wypadł. Uehonorowano te sto lat. Rano to dopaść nie mogłem. Wstałem skoro świt. Zona też”.

Oto relacja porucznika Wójta:

— „Zbudowaliśmy siedzibę straży pożarnej w Wieluniu pod wodzą Sliwińskiego. Mieści się tutaj Komenda Rejonowa Straży Pożarnej, której jestem komendantem i Wojewódzki Ośrodek Szkolenia Pożarniczego, którego komendantem jest major pożarnictwa Bogusław Sliwiński. Taką ma wizytówkę na drzwiach gabinetu. Historię budowy mam tutaj (z suflady biurka wyciągnął plik dokumentów). To jest decyzja o dofinansowaniu. XXI przejęcie planu przez wykonawcę. XXI, przewieźli tylko dwie płyty. XXI, tylko siatkę przewieźli przez cały dzień... i tak dalej. Rozumiemy się jak to było z tą budową. Trzeba było zająć mi się i tym również. 28 czerwca 1976 r. był już odbiór techniczny, a 1 sierpnia 1976 przeprowadziliśmy się tutaj. Stołówka była budowana na umowę. Proszę spojrzeć za okno. Tu jest ślad, widać wyraźnie gdzie był dach stołówki, no bo mieściła się w parterowym budynku. Sliwiński powiedział, że zrobimy nadbudowę. Więc poszliśmy w górę. Na stołówkę zbudowaliśmy internat dla szkolących się strażaków. To był czyn społeczny również. Sliwiński był inspiratorem, inicjatorem, gonim, robił, pokazywał jak. Przykład solidności naszych ludzi z terenu. Jak szliśmy z nadbudową, tu w Wieluniu, przekonaliśmy się, że nie zdążymy do rana z dachem, bo akurat deski udało nam się zwieźć o 21.00. Zadrzwiliśmy do Białej, żeby pomogli nam przybić deski na tym dachu. 40 ludzi — ochotników przyjechało, wzięli ze sobą oświetlenie i przybiłali całą noc. To jest — chyba autorytet, że oni z własnej woli przyjeżdżają i robią do rana, za darmo. Dokładnie. Jak dla siebie”.

Retrospekcja doktora: — „Mówiłem panu o moich trzech pierwszych spotkaniach z Wieluniem. Było jeszcze jedno, książkowe. Znalazłem gdzieś książeczkę, jeszcze w Okolewie, taki dziesiętnastowieczny zbiorek legend. Było w nim i o Wieluniu, a ja pomyślałem sobie wtedy, że skoro i o nim, to widocznie jest godne uwagi. Pamiętam tytuł: „Z biegiem Wisły”... — Wieluń nad Wartą...”

Dalszy ciąg na str. 5

INSTANCJA PARTYJNA I ŚRODOWISKO SZTUKI

OWOCE WSPÓŁPRACY

Powojenna biografia Łodzi jako ośrodka kulturalnego składa się z rozdziałów dosyć różnych i zarazem charakterystycznych. W pierwszym okresie po wyzwoleniu kraju, Łódź przeżywała sezon heroiczny, stanowiła pierwszoplanowe centrum życia artystycznego.

Ale okoliczności tej koniunktury okazały się nieco sztuczne — znaczna część środowisk twórczych była związana z miastem tylko przejściowo i w miarę odbudowy stolicy wracała do niej coraz tłumnie. W Łodzi nastąpiły więc lata „chude”, okres pewnej depresji i obniżenia poziomu kulturotwórczych ambicji.

Druga połowa lat pięćdziesiątych przyniosła wyraźną odmianę tej sytuacji — w sposób widoczny zaczęły się tworzyć nowe środowiska twórcze. Tym razem był to proces naturalny, oparty na dialogu przedstawicieli starszej generacji, którzy czuli się z Łodzią autentycznie związani i tych reprezentantów młodszych roczników, którzy rozpoczęli tu swoją artystyczną biografię.

Dziś mamy do czynienia we wszystkich łódzkich środowiskach twórczych z układem sił dość zróżnicowanym pokoleniowo, ale w dużej mierze określonym przez młodsze generacje. One wzbogaciły życie artystyczne miasta o nowe doświadczenia i wartości. Głównie dzięki temu Łódź pozbywa się już na szczęście zadawnionego

kompleksu stolicy, swego rodzaju przekonania, że egzystuje w jej cieniu, że tutejszy ośrodek kulturalny jest skazany na drugorzędność. Oczywiście tego rodzaju kompleksy nie wpływały korzystnie na poziom dokonań i aspiracji twórczych. Ostatnie lata stanowią jednak w tej dziedzinie zdecydowany postęp.

Łódź stała się ośrodkiem kulturalnym o bogatym potencjale artystycznym, o niepartykularnych ambicjach, ośrodkiem, który realnie i świadomie dąży do samookreślenia. Rzecz znamienna — łódzkie środowiska twórcze są szczególnie uwrażliwione na impulsy współczesności, na potrzebę bezpośredniego, wszechstronnego dialogu z odbiorcą.

Program „Sojuszu świata pracy z kulturą” jest w Łodzi realizowany w sposób szeroki i intensywny. Dość wskazać na szereg takich inicjatyw, jak systematyczne spotkania łódzkich pisarzy z załogą Zakładów im. Dzierżyńskiego, jak bezpośrednie kontakty między Teatrem Wielkim a Kombinatem w Belchatowie, jak wreszcie trwała współpraca łódzkich artystów z Zakładami „Obrońców Pokoju” i z „Elta”, współpraca, której jednym z najciekawszych przejawów jest konkurs na rzeźbę dla osiedla, realizowaną przez robotników.

Tego rodzaju związki są doświadczeniem, którego wagę trudno przecenić. Z jednej

strony stwarzają bowiem silny impuls dla rozwoju twórczości socjalistycznej, trafnie rozpoznającej problematykę społeczną, z drugiej — skutecznie sprzyjają upowszechnieniu aktywnego stosunku do sztuki wśród ludzi pracy. Taka otwartość i aktywna postawa łódzkich ludzi teatru wobec odbiorcy, którego traktują jako pełnowartościowego partnera, wydają się zjawiskiem szczególnie cennym. Pozostaje ono nie bez wpływu i na kształt twórczości, i na oblicze ideowo-artystycznych poszukiwań.

Nie jest przecież kwestią przypadku, że np. bardzo liczne (liczące ponad 700 osób), ekspansywne, mające wielostronne osiągnięcia łódzkie środowisko plastyczne niezwykle dużo uwagi poświęca problematyce projektowania przemysłowego i w znacznej mierze kształtuje swoje zainteresowania twórcze, odpowiadając na potrzeby praktyki społecznej. W taki sposób jest zresztą sprofilowana działalność łódzkiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która odgrywa istotną rolę w życiu miasta i zarazem stanowi żywy ośrodek myśli artystycznej, skupiając wokół siebie twórców tej rangi, co B. Liberski, K. Karpiński, W. Garbaliński, S. Flakowski, L. Różga.

Miarą inwencji i rozmachu tutejszego środowiska plastycznego są organizowane z sukcesem

właśnie w Łodzi wielkie przedsięwzięcia ekspozycyjne: „Międzynarodowe Triennale Tkaniny Artystycznej i Przemysłowej”, „Triennale Malarstwa i Grafiki — nasz czas — metafora — tendencje” oraz otwarta po raz pierwszy w roku 1976 wystawa, dotycząca zagadnień środowiska człowieka. Każda z tych inicjatyw — warto to podkreślić — dotyczy bardzo ważnego aspektu współczesnej sztuki i jest wydarzeniem nie tylko w krajowej skali.

Ale i w innych dziedzinach życia artystycznego nie brak dowodów, świadczących o ambicjach i kierunkach świadomego wyboru problematyki niemarginesowej i nieobojętnej ideowo. W geografii zainteresowań łódzkich pisarzy zdecydowanie dominuje temat współczesny. Podejmują go m.in. z powodzeniem W. Biliński (tegoż laureat nagrody CRZZ), J. Wawrzak, W. Jażdżyński. Również ubiegły łódzki sezon teatralny — mimo że nie wolny od niepowodzeń — stanowił bardzo dobitne świadectwo rosnącej obecności polskiej dramaturgii współczesnej. Doświadczenia scen o ustalonej już pozycji, a więc Teatru Nowego (K. Dejmek) czy Teatru im. Jaracza (J. Maciejowski), ambitne poczynania repertuarowe Teatru Powszechnego (R. Kłosowski), składają się na dość bogaty i różnorodny pejzaż życia artystycznego. Nie brak indywidualności i w łódzkim ośrodku muzycznym — Teatr Wieki pod dyrekcją B. Wodiczki i Filharmonia pod kierownictwem H. Czysa mają wszelkie szanse coraz bardziej liczyć się w skali kraju.

Wszystkie te fakty układają

się w obraz ogólniejszy środowiska twórczego, które nie tylko reprezentuje w różnych dziedzinach poważny dorobek, ale i konsekwentnie dąży do jeszcze pełniejszej integracji, coraz wyraźniej kształtuje oblicze miasta jako ośrodka kultury i sztuki.

Te fakty mówią jeszcze coś więcej: świadczą o zasięgu społecznego oddziaływania sztuki, o pomocy, jakiej udzielają środowiskom twórczym władze miasta i instancje partyjne. Mówią wreszcie o sprawie szczególnie istotnej, o klimacie niezbędnym dla powstawania i rozwoju tak wielu wartościowych inicjatyw.

Sprawy kultury stanowią dla instancji partyjnej przedmiot stałego zainteresowania i uwagi. W czerwcu 1974 roku odbyło się plenum Komitetu Łódzkiego PZPR, poświęcone tej właśnie problematyce, które stało się podstawą do opracowania programu rozwoju kultury miasta do roku 1980. W ciągu ostatnich lat związane z tym programem zagadnienia były niejednokrotnie omawiane na posiedzeniach egzekutywy i sekretariatu KL. W ramach komisji ideologicznej działa zespół do spraw kultury, będący żywym ośrodkiem konsultacji i precyzowania partyjnej opinii we wszystkich ważniejszych kwestiach, dotyczących łódzkiego ośrodka kulturalnego, zwłaszcza jego środowisk twórczych.

Tego rodzaju dyskusje stanowią ważną roboczą płaszczyznę konfrontacji opinii działaczy i twórców. Utrwalają w nich poczucie wspólnej odpowiedzialności za ideowo-programowy kształt życia kulturalnego. Kluczową rolę w procesie oddziały-

wania instancji na środowiska artystyczne spełnia również wywodzący się z nich aktyw partyjny. Wśród znanych i cenionych działaczy niemało będzie twórców o poważnym dorobku, o autentycznym autorytecie we własnym środowisku. Ich postawy w znacznej mierze wpływają na formowanie się nastrojów, opinii i tendencji. To grono partyjnych twórców, skupionych wokół Komitetu Łódzkiego, jest dla instancji partyjnej autorem w każdej trudniejszej sytuacji i zarazem szansą ofensywnego działania.

Na tym tle zwraca jednak uwagę stosunkowo mały stopień upartyjnięcia i aktywności społecznej wśród młodzieży artystycznej. To zjawisko wymaga z pewnością głębszej troski. Niezwykle dużo zależy w tej dziedzinie od inicjatywy i niesza-blonowej pedagogiki ze strony twórców już dojrzałych, którzy nie zawsze w pełni doceniają młodych jako swoich partnerów i sukcesorów. A zwiększenie ideowo-politycznej obecności partii również w tym środowisku jest sprawą oczywistej wagi. Sprawa o znaczeniu nie do-różnym, a długofalowym.

Ogólny bilans doświadczeń łódzkiej instancji partyjnej we współpracy ze środowiskami twórczymi okazał się dotychczas korzystny. Klimat sprzyjający rozwojowi kultury i sztuki, zasada aktywnego dialogu i inspiracji — oto wartości, które już zaowocowały.

JERZY BAJDOR
(„Trybuna Ludu”)

„PROFIL” - po pierwszej kadencji

Z początkiem 1975 r., w wyniku wieloletnich starań, wspieranych również przez łódzką prasę, powołany został w Łodzi ZESPÓŁ FILMOWY „PROFIL”. Tym samym zlikwidowano rażąco anomalię jaką był brak w mieście, zwanym stolicą polskiego filmu, ośrodka programowo-twórczego. Dzięki tej decyzji zaczęło funkcjonować ważne ogniwo w układzie: szkoła filmowa, środowisko, wytwórnia, a także powstały warunki do integrowania wokół twórczości filmowej innych środowisk twórczych, pisarzy, aktorów, muzyków, plastyków.

Obecnie dobiega końca trzyletnia kadencja Zespołu, co jest chyba dobrą okazją do wstępnego podsumowania jego działalności.

Łódzki zespół wystartował w dobrym momencie, w pierwszym roku realizacji uchwały Biura Politycznego KC w sprawie dynamicznego rozwoju polskiej kinematografii i zwiększenia jej ideowo-wychowawczej roli w oddziaływaniu na społeczeństwo. Ambitny i trudny program jaki zespół przyjął, znalazł w realiach partyjnej uchwały istotną inspirację i znaczące wsparcie. Inne okoliczności, o których za chwilę, dość poważnie komplikowały pierwszy okres działalności.

Po pierwsze. Zespół startował od zera. Inne zespoły — warszawskie — działały od kilkunastu lat, katowicki („Silesia”) od lat kilku. Nie istniała żadna baza scenariuszowa. Wielu scenarzystów i realizatorów z rezerwą obserwowało poczynania beniaminka.

Po drugie, po roku działalności miały miejsce istotne zmiany w kierownictwie, co również na jakiś czas wpłynęło na rytm pracy. W dodatku część członków Zespołu kontynuowała „stare” zadania, podjęte przed powstaniem „Profilu”. (np. R. Ber i R. Wionczek).

I po trzecie, Zespół mimo akcesu kilku znanych i doświadczonych reżyserów, startował właściwie jako zespół debutantów.

Kierownictwo artystyczne Zespołu objął Bohdan Poręba. Pierwszym kierownikiem literackim był Wacław Biliński, przez ostatnie dwa lata funkcję tę pełnił kolektywnie Stanisław Kuszewski i Jerzy Wawrzak. Szefem produkcji Zespołu, po Ludgerze Romanie, został Stanisław Skubniewski. Z Zespołem przez całą kadencję współpracowała

grupa konsultantów literackich na czele ze Zbigniewem Żaluskim. Wymienieni wyżej wraz z całym kolektywnym twórczym i organizacyjnym podzieli określone zadania, jak się już rzekło, ambitne i trudne. Konfrontując deklaracje zespołu i liczne wypowiedzi prasowe kierownictwa sprzed trzech lat z dniem dzisiejszym, trzeba jednoznacznie powiedzieć, że nie były to obietnice bez pokrycia. Bohdan Poręba, autor niezapomnianego „Hubala”, sprawdził się jako szef twórczego kolektywu i dotrzymał słowa.

Jak w żadnym innym zespole podjęto sprawę debiutów. Temat sam w sobie, rzeka. Dość jednak przypomnieć, że w zespole debiutowali filmami kinowymi bądź telewizyjnymi reżyserzy: Wacław Florkowski, Jan Butkiewicz, Ryszard Rydzewski, Zygmunt Skonieczny, Henryk T. Czarnecki, Wojciech Fiwek, Stanisław Brejdygant, Ignacy Gogolewski oraz dwaj absolwenci szkoły filmowej Lech Majewski i Krzysztof Sowiński.

Trudniej bez porównania jest rozliczyć animatorów zespołu z samookreślenia swych racji ideowych i politycznych. Zespół przyjął nieprzypadkowo nazwę „Profil” realizując program poszukiwania sylwetki ideowo-moralnej współczesnego Polaka, człowieka głęboko zakorzenionego w tym, co najlepsze w naszej tradycji, który jednocześnie w sposób krytycznie odpowiedzialny i twórczy uczestniczy w rozwiązywaniu problemów współczesności. Taka postawa, tylko pozornie oczywista i ulatwniona, w takim mieście jak Łódź mogła się spotkać z pełną aprobacją, rozwinięciem się w klimacie miasta robotniczego, miasta z

rewolucyjną przeszłością, w którym dniem dzisiejszym w którym nie ma miejsca na przelotne mody, kosmopolityczne snobizmy, wpływy „salonów” i „kawiarni” artystycznych. I tak, w pierwszym roku działalności reżyser Krzysztof Wojciechowski zrealizował „Rodzinę”, kontynuując swą unikalną linię poszukiwań dokumentalno-fabularnych. Na przykładzie rolniczej spółdzielni „Nowy Świat” ukazał dramaty związane z odchodzeniem starej i nadchodzeniem nowej wsi. (W rozprawach popelniono błąd nie dając odpowiedniej ilości kopii na tereny wiejskie, traktując film głównie jako eksperyment formalny). Potwierdzeniem wartości tego filmu może być zainteresowanie z jakim spotkał się podczas Tygodnia Filmu Polskiego w Anglii.

Drugi film „Zagrozenie” był na pół dokumentalną relacją o słynnym procesie przed Urzędem Emigracyjnym USA o ekstradycję byłych katów Majdanka, mający swój dalszy ciąg w obecnie toczącym się procesie w Dusseldorfie, gdzie również zasiada „bohaterka” filmu. Film ten, w reżyserii znanego dokumentalisty i operatora Wacława Florkowskiego, otrzymał nagrodę publiczności na III Festiwalu w Gdańsku i spotkał się z przychylnym przyjęciem u publiczności radzieckiej podczas Dni Literatury Polskiej w ZSRR.

Kontrowersje w sensie artystycznym wywołał debiutancki film Jana Butkiewicza wg scenariusza Jurija Nagibina (znanego pisarza i laureata „Oskara” za scenariusz do filmu „Dersu Uzala”). Jednak opowieść ta, utrzymana w balladowej konwencji, mówiąca o stosunku człowiek-przyroda, sprawnie zrealizowana, stanowi niepodważalną propozycję.

Inny dokumentalista, Ryszard Rydzewski, na podstawie scenariusza pisarki Ewy Przybylskiej zrealizował wartościowy film o młodzieży z tzw. marginesu, ukazując jak wązka jest granica między egzystencją poza normami społecznymi a zbrodnia.

W tym samym roku zrealizowano również trzy filmy telewizyjne. Reżyser WFO, Zygmunt Skonieczny zrealizował „Latarnika” wg scenariusza Konrada Frejdlicha, a Wojciech Fiwek z tej samej wy-

twórni „Córka delegatki” wg opowiadania Anny Seghers. (Film ten, jak się wydaje, zbyt długo czeka na emisję na małym ekranie). Film Henryka T. Czarneckiego, wieloletniego II reżysera, pt. „A jeśli będzie jesień...” oglądaliśmy niedawno w telewizji.

Z dużym zainteresowaniem oczekiwano na film kierownika artystycznego zespołu „Gdzie woda czysta i trawa zielona” wg scenariusza Ryszarda Gontarza, jeden z nielicznych utworów podejmujących wprost problematykę partyjnej działalności, mówiący o etyce działaczy i odpowiedzialności związanej ze sprawowaniem władzy. Reżyser spróbował tematowi, film zdobył Grand Prix IV Lubelskiego Forum Filmowego „Człowiek — Praca — Twórczość” oraz nagrodę zakładów Wybrzeża na festiwalu gdańskim.

Ambicjom Stanisława Brejdyganta w „Zakreję” nie stało się do możliwości. Atrakcyjny temat przedstawiający konflikt między działaniem a życiem osobistym menadżera przemysłu, zagubił się w pseudofilozofowaniu i naciągającym psychologizmie.

Film wybitny, aczkolwiek jak to bywa w wypadku Grzegorza Królikiewicza — kontrowersyjny, stworzył znany reżyser na motywach powieści Juliana Kawalca. Jeszcze nieznaną publiczności, na ostatnim festiwalu w Gdańsku zdobył Nagrodę Główną za reżyserię.

Nieznaną jest również publiczności film Witolda Leszczyńskiego „Ślad magnetyczny”, autora pamiętnego „Żywota Mateusza”. Niestety, podjęty przez reżysera rozrachunek z własnym życiem i twórczością, w formie zbyt minoderyjnej i ekslibiszonistycznej, nie bardzo może liczyć na życzliwe zainteresowanie.

W tych ocenach nie mieści się film dwóch absolwentów łódzkiej szkoły filmowej: Lecha Majewskiego i Krzysztofa Sowińskiego „Początek ciszy” (także na motywach noweli Kawalca) gdyż zrealizowany został na zasadach pracy dyplomowej.

Z samej techniki i technologii produkcji filmów wynika, że ze znaczną częścią dokonanych „Profilu” w bieżącej kadencji spotkamy się dopiero w przyszłości, w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy. Z filmów

telewizyjnych będzie to przede wszystkim 14-odcinkowy serial „Znak orla” w reżyserii Huberta Drapelli. Jest to film historyczny z czasów Władysława Łokietka, przeznaczony dla młodych widzów. Z filmów kinowych „Antyki” Wojciechowskiego, film o tematyce pozornie sensacyjnej, o kradzieży dzieł sztuki, ale mający swój wydźwięk społeczny. Zrealizowany, jak to znów u Wojciechowskiego bywa technika paradokumentalna. Waldemar Podgórski w jakimś sensie kontynuuje problematykę swego poprzedniego filmu „Pójdziesz ponad sadem”. Tym razem (także na motywach prozy Ryszarda Binkowskiego) autor pokazuje rozdarcie młodego człowieka między miasto a wieś, ale jest to spojrzenie nieco odmienne, pogłębione, dalekie od panujących dotąd stereotypów. Także reżyser Rydzewski nie odszedł od tematyki młodzieżowej, realizując jednak film o „normalnej” młodzieży, stojącej u progu dojrzałości.

Filmem zastępującym na szczególnej uwagę jest „Zapach ziemi” choćby ze względu na osobę znanego reżysera Jugosłowiańskiego Dragovana Jovanovicia. Jest to pierwsza koprodukcja „Profilu” z wytwórnią „Avala Film”. Film powstał na podstawie scenariusza polskiego pisarza Wiesława Myślińskiego.

W końcowej fazie produkcyjnej znajdują się m. in. film w reżyserii Ignacego Gogolewskiego „Romans Teresy Hentert” wg znanej powieści Nalkowskiej, oraz „Pejzaż horyzontalny” Janusza Kidawy, także znanego dokumentalisty, który debiutuje w fabule.

Kilka następnych filmów znajdują się w różnych fazach realizacji. Są to: „Pogrzeb świerszcza” Wojciecha Fiwka, „Umarli rzucają cień” Juliana Dziedzińskiego, „Wysokie loty” Ryszarda Filipińskiego, „Sekret Enigmy” w reżyserii Romana Wionczka i inne.

O innych planach Zespołu mówić za wcześnie, zwłaszcza o daleko zaawansowanych i

wybiegających w przyszłość pracach literackich. Na potrzeby przyszłej produkcji pracuje dla zespołu ponad stu scenarzystów, a wśród nich wielu wybitnych pisarzy z całego kraju. U progu nowej kadencji zespół zasililo również kilku nowych, doświadczonych reżyserów, a także młodych filmowców przygotowujących się do debiutu.

Przy okazji podsumowania działalności Zespołu nie od rzeczy będzie wspomnieć o działalności parafilmmowej, mającej na celu rozwój kultury filmowej. Mam tu na uwadze m. in. umowy patronackie z wielkimi zakładami przemysłowymi, np. w Łodzi z zakładami im. Strzelczyka i „Fenix”, w ramach których odbywają się fabryczne premiery z dyskusjami i omawianie są plany repertuarowe Zespołu. Podobną rolę spełniają organizowane przeglądy filmów Zespołu, gdzie ma miejsce żywa wymiana poglądów z publicznością naszego miasta. Swoją rolę spełnił także zorganizowany przez zespół wspólnie z redakcją „Głosu Robotniczego” konkurs na nowelę filmową.

W dniu 12 grudnia odbyło się zebranie członków zespołu, na którym dokonano oceny dotychczasowej działalności i wytyczono zadania na nową kadencję. W spotkaniu tym wziął udział tow. Zbigniew Faliński, sekretarz KL PZPR, który wysoko ocenił dotychczasową działalność „Profilu” życząc wszystkim twórcom dalszych sukcesów w realizowaniu ambitnych zamierzeń. Na spotkanie przybył również Wacław Barszczewski, sekretarz Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, który w dowód uznania dla działalności zespołu na polu krzewienia przyjaźni między narodami Polski i Związku Radzieckiego wręczył przyznawaną przez ZG Złotą Honorową Odznakę TPRP dla Zespołu Filmowego „Profil”.

ALEKSANDER
GÓRCZYŃSKI

KOMUNIKAT

Uprzejmie zawiadamiamy naszych Czytelników i Współpracowników o zmianie adresu naszej redakcji. Od dnia 6 GRUDNIA br. brzmi on: Redakcja „Odgłosy”, 90-438, Łódź, ul. MICKIEWICZA 12, tel. red. nac. i sekr. 652-44, 680-99 i 677-70

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICh, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEI, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redakcja techniczna), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JE-RZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.



Foto: Archiwum

EUGENIUSZ IWANICKI

UCZYĆ SIĘ KULTURY

W społeczeństwie socjalistycznym rozwój kultury jest uwarunkowany rozwojem społeczno-gospodarczym, jednocześnie dynamika i wielkość gospodarki ściśle wiąże się z poziomem intelektualnym i stanem kultury społeczeństwa. Ta zależność jest oczywista, a życie dowiodło, że wraz ze wzrostem dóbr materialnych wzrasta zapotrzebowanie na książki, filmy, gazety, teatr czy muzykę. Taka prawidłowość wymaga odpowiednich działań ze strony czynników zajmujących się upowszechnianiem myśli humanistycznej.

Zapotrzebowanie na kulturę wzrasta, bowiem wzrosła przeciętna zasobność ekonomiczna polskiej rodziny. Niezwykle szybko skróciła się droga pomiędzy odbiorcą dóbr kulturalnych a ich twórcą. Pomijam takie czynniki jak spotkania autorskie, piśmiennictwo czy plenery malarskie. Dziś teatr przybywa do najbardziej odległej wsi poprzez środki masowego przekazu. Rolnik, który jeszcze dwadzieścia lat temu nie bardzo wiedział gdzie leży stolica kraju, dziś uczestniczy w misteriach teatralnych Szajny lub przysłuchuje się rozmowie z prof. Michałowskim.

Kultura stała się chlebem powszednim naszej codzienności, co poświadczają z sobą potrzeby zalecają się tym zjawiskiem bliżej i szerzej.

Dodatkowym czynnikiem, który przyspieszył działania na rzecz humanizacji, był dokonany dwa lata temu, administracyjny podział kraju. Nastąpiła niezwykła i nieznana w dziejach niektórych regionów aktywizacja życia kulturalnego. Okazało się przy tym, że od lat istniały nie wy-

korzystane rezerwy w tej dziedzinie, że wystarczy je zaktywizować, nadać im właściwy kierunek i rangę, wesprzeć metodycznie i finansowo, a kultura, nie tylko że trafi do nas, lecz wydobytą z wieloletnich pokładów niepamięci, stanie się czynnikiem integrującym dwa niedługo odległe od siebie środowiska: miasto i wieś.

Ostatnio w Piotrkowie Trybunalskim odbyło się plenium Komitetu Wojewódzkiego PZPR poświęcone rozwojowi kultury w województwie piotrkowskim do 1990 roku. Było to ważne wydarzenie dla polityki kulturalnej i rozwoju kultury tego regionu.

Według danych statystycznych województwo piotrkowskie liczy ponad 580 tys. mieszkańców. Za lat piętnaście będzie ich ponad 620 tysięcy. Oczywiście wzrosło przede wszystkim ludność miast: Piotrkowa, Bełchatowa (powstanie Bełchatowski Okręg Przemysłowy), Tomaszowa Mazowieckiego, Radomska i Opoczna. Od razu należy zaznaczyć, że węgiel odegra poważną rolę w przyspieszonym rozwoju takich skupisk jak Kamięńsk, Szezerów, Sulmierzyce i Wola Krzysztoporska. Obok ludności osiadłej należy spodziewać się imigracji robotników z innych województw, często nawet odległych. Opracowany przez władze administracyjne województwa plan przestrzennego zagospodarowania terenów województwa piotrkowskiego przewiduje, że rozwój stęcl osadniczej będzie się odbywał głównie wokół osi Bełchatów — Piotrków — Tomaszów. Nie jest to bez znaczenia dla dalszych planów rozwoju kultury, bowiem

struktura zagospodarowania obejmie obszar około 1/4 całego województwa, a w roku 1990 znajdzie się tu połowa ludności zamieszkującej obszar województwa oraz 2/3 ludności miejskiej. Dlatego też te, nie tak znowu odległe, perspektywy narzucają formę i sposób rozwoju kultury.

O przeszłości samego miasta Piotrkowa i województwa napisano szereg monografii, prac doktorskich, publikacji. Dowiadujemy się z nich o sławnych uczonych, pisarzach, politykach i działaczach społecznych. Z Wolborza pochodził autor dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej” — Andrzej Frycz Modrzewski, z Białej — Marcin i Joachim Bielscy — obaj historycy, z Węgrzynowic — Jan Chryzostom Pasek z Białaczowa — Stanisław Małachowski — marszałek Sejmu Wielkiego, z Kobieli Wielkich — Władysław Reymont, z Opoczna — Władysław Perzyński. Z miejscowego kolegium pijarskiego i szkół wyszło wielu późniejszych mężów stanu, polityków, ludzi kultury, naukowców. Tu pobierali naukę m.in. Stanisław Konarski, Maksymilian Baruch — autor monografii o Pabianicach, Oskar Flatt — pierwszy monografista Łodzi i Piotrkowa, Wołody Skiba — autor bardzo popularnej książki dla młodzieży „Nad poziomem”, Włodzimierz Gorzaczkowski — założyciel ośrodka pomologicznego w Skierniewicach, Konrad Guderski — obrońca poczty w Gdańsku, wybitny uczyony Marceł Nencki. Tu żyli i działali m.in. Franciszek Lesseł — kompozytor, pianista i dyrygent, Józef Chodakowski — dyrygent Opery Warszawskiej, Oskar Lange — wybitny ekonomista, Lucjan Rudnicki — literat i działacz polityczny, Henryk Siemiradzki — artysta malarz, Antonina Sokolicz — pisarka i działaczka ruchu robotniczego.

Zawsze na ziemi piotrkowskiej kwitło na przestrzeni dziejów życie kulturalne, działały dziesiątki chórów i orkiestr robotniczych i chłopskich, powstawały zespoły teatralne, rozwijało się czasopiśmiennictwo. Najślynniejszy był „Tydzień” na łamach którego drukowali swoje utwory najwybitniejsi autorzy: Adam Asnyk, Bolesław Prus, Maria Konopnicka, Eliza Orzeszkowa, Teofil Lenartowicz, Wiktor Gomoliński. Oczywiście, lista wielkich synów tej ziemi nie jest pełna. Ale tych kilkanaście nazwisk przytoczyłem dla potwierdzenia, że jest to województwo o wielkich i pięknych tradycjach, zasłużone wiele dla kultury narodowej. Należy więc połączyć ze sobą dostojną przeszłość z dynamiczną przyszłością. Powiedział o tym jeden z dyskutantów zabierających głos w czasie obrad plenarnych poświęconych rozwojowi kultury w województwie piotrkowskim, Tadeusz Nowakowski, przewodniczący Komitetu Wojewódzkiego PZPR: „Musimy pamiętać, że kultura, to wielka księga, w której winna być wsiwywana ciężkość losu narodu, jego praca, jego wysiłek, jego radości i smutki. Ale jednocześnie musimy pamiętać, że zostanie ona przekazana następnym pokoleniom, które wydadzą o naszej pracy i zapisie swoje surowe orzeczenie”.

Zresztą wszyscy dyskutanci z ogromną troską mówili o przyszłości kultury, o jej zasobach materialnych, o pracownikach prowadzących działalność upowszechnieniową. Obecny stan posiadania przedstawia się następująco: placówek bibliotecznych — 174, punktów bibliotecznych — 671, około siedemset zabytków architektury i budownictwa, 22 towarzystwa i stowarzyszenia kulturalne, ponad 580 zespołów zainteresowań (należą tu chóry, kapela, orkiestry dęte, kabarety, zespoły plastyczne, filmowe, teatry lalek i poezji), 389 placówek kulturalno-wychowawczych (wojewódzkie i zakładowe domy kultury, świetlice, kluby, wiejskie domy kultury, spółdzielcze, kina itp.), ponadto muzea, Biura Wystaw Artystycznych, Szkoły Muzyczne. Jest to baza, na której w niedalekiej przyszłości trzeba będzie stworzyć nowy model socjalistycznej kultury.

Oczywiście najważniejsza sprawa, która wysuwano zarówno w referacie egzekutywy KW PZPR, jak i w czasie dyskusji, była aktywizacja środowiska, a także kierunki ofensywy kulturalnej na najbliższe lata. Uznano w pierwszym rzędzie, że nadal podstawową placówką na terenie gminy czy miasta będzie biblioteka z czytelnia i oddziałem dla dzieci, na wsi — wypożyczalnia książek wraz z czytelnia czy miejscem do czytania; w budynku WDK należy zorganizować stałą scenę teatralną (także w Tomaszowie), rozszerzyć kontakty z Filharmonią Łódzką, Opolską i innych ośrodków kraju, organizować przeglądy chórów, orkiestr dętych, festyny kulturalne, konkursy i koncerty, a także plenery plastyczne, większy niż dotąd nacisk trzeba położyc na rozwój społecznego ruchu kulturalno-oświatowego, który jest czynnikiem aktywizującym poszczególne środowiska: trzeba rozszerzyć oddziaływanie sztuki ludowej, która na terenie województwa posiada wieloletnie tradycje (w perspektywie budowa Domu Twórcy Ludowego); uznając, że Łódź jest i pozostanie ponadregionalnym centrum kultury polskiej, województwo piotrkowskie

będzie podtrzymywać oraz rozwijać istniejące powiązania, które sprzyjają korzystaniu z tworzonych w Łodzi wartości artystycznych (dla przypomnienia: istnieje i rozwija się współpraca ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków, Związkiem Literatów Polskich, Filharmonią, Wyższą Szkołą Muzyczną, Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych, PWSTFiTV oraz muzeami i środowiskiem dziennikarskim). W kontekście tego bardzo charakterystyczne były dwa wystąpienia: Wiesława Garbolińskiego — rektora WSSP oraz Barbary Urbańskiej — Miszczyk — artysty plastyka zatrudnionej w hucie szkła „Hortensja”. Wiesław Garboliński powiedział: „Rozwój plastyki — to tworzenie własnego ośrodka twórczego, własnego środowiska z ludzi, którzy tu wyrosli i tu się wychowali. Im właśnie należy stworzyć odpowiednie warunki życia i pracy. W tym upatruje wielką szansę dla zdynamizowania życia artystycznego województwa. Plastyków należy traktować jak innych, wyspecjalizowanych fachowców: lekarzy, architektów, inżynierów. Wówczas podejma się najcięższych zadań. A zadania te są olbrzymie: tu nie chodzi jedynie o malarstwo czy rzeźbę, ale o sprzęty codziennego użytku, o to wszystko, co wytwarzają ludzkie ręce”.

Natomiast Barbara Urbańska — Miszczyk obok przypomnienia czym jest sztuka w nowym społeczeństwie socjalistycznym postulowała o pracownię dla artystów plastyków (mają być dwie, a potrzeba dziewięciu), o zatrudnienie w salonach BWA ludzi o pełnych kwalifikacjach zawodowych, o zorganizowanie salonu sprzedaży dzieł sztuki wraz z galerią autorską, a także by przyznawana od przyszłego roku doroczna nagroda za upowszechnianie sztuki nosiła imię albo Henryka Siemiradzkiego albo Józefa Mehoffera — artystów związanych z ziemią piotrkowską.

Sztuka pomaga w budowie nowego życia, umacnia idee szlachetne i humanistyczne, wrażliwość na piękno, dobro człowieka i narodu — mówiła. Jest zatem nasze miejsce wśród robotników, w zakładach pracy, wśród inteligencji, młodzieży, mieszkańców miast i wsi.

Istotnym ogniwem w szeroko zakrojonym procesie upowszechniania kultury będą nadal placówki kulturalno-oświatowe. Toteż biorąc pod uwagę charakter województwa wytyczono trzy strefy działania. Pierwsza, w której dominować będzie model upowszechniania kultury w środowiskach robotniczych, będzie dotyczyła Piotrkowa, Tomaszowa, Radomska, Bełchatowa, Opoczna, a w następnej kolejności Woli Krzysztoporskiej, Moszczenicy, Kuluszek, Żelowa, Gorzkowic i Szezerowa. Druga strefa obejmie model upowszechniania kultury w środowiskach rolniczych. Tu zostaną połączone dwa aspekty: utrwalanie kultury narodowej i uzupełnianie wiedzy rolniczej. W strefie trzeciej dominować będzie model upowszechniania kultury w powiązaniu z turystyką i rekreacją. Realizowany będzie przede wszystkim w Sulejowie, Przedborzu, Tuszninie, Inowłodzu.

Zakłada się, że do 1990 r. województwo otrzyma pełną sieć centrów kulturalnych (gminnych, miejskich i dzielnicowych) a także Wojewódzkie Centrum Kultury w Piotrkowie, gdzie znajda siedzibę: teatr dramatyczny i lalkowy, orkiestra typu filharmonicznego, estrada oraz Wojewódzki Ośrodek Kultury. Obok Centrum zostanie zlokalizowana WBP, Muzeum Okręgowe, BWA, KMPIK. Realizacja powyższego będzie przebiegać w dwóch etapach: pierwszy do roku 1980 obejmie budowę Domu Kultury w Opocznie, rozpoczęcie budowy kina w Piotrkowie oraz WOK w Piotrkowie, Domu Kultury w Sulmierzycach oraz Miedzynakładowego Domu Kultury w Bełchatowie. Nakłady na te inwestycje wyniosą ponad 100 mln zł, a czynny społeczny osiagna wartość około 20 mln zł. Etap drugi — do roku 1980, na który przeznaczony jest ponad 200 mln zł, obejmie budowę szkoły muzycznej z internatem w Piotrkowie i Tomaszowie, kina w Sulejowie i Tomaszowie, ośrodków kultury w Sulejowie, Inowłodzu, Przedborzu, a także amfiteatru w Piotrkowie.

Ogromny wpływ na środowisko wywierają placówki muzealne gdzie przeszłość posiądają z dniem jutrzejszym. Województwo piotrkowskie należy do grona województw zasobnych w pamiątki przeszłości. Obok muzeów już działających jak Muzeum Okręgowe w Piotrkowie, Muzeum w Tomaszowie, regionalne muzea w Radomsku i Opocznie czy Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie w niedalekiej przyszłości powstanie Muzeum Wsi Piotrkowskiej w okolicach Wolborza, tuż przy trasie szybkiego ruchu. Oczywiście, w działalności tych muzeów musza być wprowadzone nowoczesne, nowatorskie formy pracy, a zbiory muzealne stana się niezbędnymi pomocami w wychowaniu ideowo-obywatelskim. Do roku 1990 własne muzeum otrzyma Bełchatów, gdzie znajdzie swoje odbicie 240-letnia historia miasta i dzień dzisiejszy całego Bełchatowskiego Okręgu

Przemysłowego. Do pilnych zadań należy także pełna inwentaryzacja zasobów zabytkowych (zabytki architektury, budownictwo ludowe).

W czasie obrad plenarnych sporo miejsca poświęcono masowej informacji i wydawnictwom, które odrywają ważną rolę w kształtowaniu i rozwijaniu poziomu kultury społeczeństwa. Chodzi o to, by województwo piotrkowskie było częściej prezentowane na łamach prasy, w radio czy telewizji, aby książki pisarzy zamieszkujących ziemię piotrkowską pojawiały się na półkach księgarskich. Od przyszłego roku będzie wychodził stały kulturalny informator wojewódzki, a także wznowi się cykl przewodników poświęconych poszczególnym miastom i gminom.

Rozmawiałem z redaktorem naczelnym „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”, która także niedługo ulegnie zmodyfikowaniu stając się periodykiem społeczno-kulturalnym dla całego województwa. — Wchodzimy w dwudziesty rok istnienia — powiedział Jerzy Kisson-Jaszczyński — i przez te dwadzieścia lat poświęcałmy sporo miejsca kulturze. Dobraćmy się także stałych imprez. W przyszłym roku po raz cztertnasty zostanie rozstrzygnięty ogólnopolski konkurs literacki o „Rubinową Hortensję”. Dobrze by było z tej okazji przywrócić dobry zwyczaj spotkań uczestników konkursu z pracownikami huty „Hortensja”, co ostatnio zostało zaniedbane. Podsumowanie przyszłorocznego konkursu dobrze byłoby także połączyć z 400-leciem Trybunału Koronnego i zorganizować z tej okazji sympozjum poświęcone tradycjom literackim Piotrkowa. Z innych imprez zainicjowanych przez nasz tygodnik, należy wspomnieć konkurs „Złota Wieża Trybunalska” istniejący już 7 lat, konkurs „Cały Piotrków w kwiatkach” — mający 8-letnią tradycję czy konkurs plastyczny dla młodzieży „Mój Piotrków” — także mający 6 lat istnienia. Z nowych inicjatyw zamierzamy od stycznia zorganizować Klub Robotników Piszących, ufundować nagrody dla najlepszego ucznia humanisty z całego województwa im. Stanisława Konarskiego i dla ucznia w dziedzinie nauk ścisłych im. Marcego Nenckiego. Ponadto organizacja partyjny dziennikarzy zamierza reaktywować w Klubie Dziennikarza prewencyjne twórców z Piotrkowa pod hasłem „Twórcy wśród nas”.

Przysłuchując się debacie w czasie plenum poświęconego rozwojowi kultury, słyszało się bardzo często postulat domagający się doskonalenia kadry. Bada to działania długofalowe, niełatwe, ale niezbędne. Nowy model kultury wymaga wysokokwalifikowanych pracowników, o wysokim morale, zaangażowanych propagatorów socjalistycznej kultury.

Na zakończenie chcę przytoczyć trzy wypowiedzi, które dotyczą wielkich aglomeracji miejskich: Bełchatowa, Tomaszowa i Opoczna. Każde z tych skupisk posiada odrębne tradycje i własne formy kultury.

— Godnym podkreślenia jest fakt — mówił Bolesław Kraupe, I sekretarz KMtG w Bełchatowie — że dynamicznie rozwijającemu się miastu przybyło kilka nowych placówek kulturalnych zorganizowanych przez Kopalnię Węgla Brunatnego i Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni „Energoblok”. Należą do nich klub górniczy „Barbórka”, klub budowlanych „Pod Kielnią”, a także świetlice biblioteczne otwierane w hotelach robotniczych. W przyszłym roku dokonamy adaptacji byłego kościoła ewangelickiego na potrzeby Biblioteki Publicznej, co rozwiąże nasze klopoty z wzdostajacym z dnia na dzień czytelnictwem. W dalszym ciągu rozwijamy współpracę z Teatrem Wielkim w Łodzi, który organizuje koncerty dla załóg bełchatowskich przedsiębiorstw, urządzamy plenery malarskie zarówno dla amatorów jak i dla artystów zawodowców”.

— Obok wielu innych placówek kulturalnych, w Tomaszowie działa 5 stowarzyszeń społecznych, które ani nie zastępują, ani nie wyręczają zawodowych placówek kultury — mówi Stanisław Sachacki z Tomaszowa. — Stwarzają one zróżnicowane formy działania, przyczyniają się do urzeczywistnienia powszechności kultury i tworzenie coraz to nowych wartości społecznych.

— Ofensywe kultury ludowej — mówił Bolesław Wojewódzki z Opoczna — prowadzić będziemy dalej. Nie ominiemy żadnego zakładu pracy, żadnej szkoły, przedszkola, instytucji, organizacji młodzieżowej. Nawiazemy silniejsze więzi z katedrami uniwersyteckimi, akademiami sztuki i zakładami fotografii artystycznej.

W niniejszym sprawozdaniu nie przedstawiłem wszystkich, ważkich problemów dotyczących rozwoju kultury w województwie piotrkowskim, o których mówiono na plenarnym posiedzeniu wojewódzkiej instancji partyjnej. Zamierzenia są ogromne lecz możliwe do wykonania. W ich wyniku powstanie nowoczesny model człowieka socjalizmu, dla którego ulegnie zatarcu granica pomiędzy tym co społeczne a tym co indywidualne, a sfera tworzenia rozciągnie się daleko poza czas pracy produkcyjnej.



Roman Kaczmarek

Rozmowa z ROMANEM KACZMARKIEM dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej Im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi.

Flirt z książką?

Panie dyrektorze, w bieżącym roku biblioteka, którą Pan kieruje obchodzi jubileusz swego 60-lecia. Jubileusz ten to zarazem święto całej łódzkiej kultury, gdyż bez najmniejszej przesady właśnie Biblioteka im. Waryńskiego przyczyniła się w niemałym stopniu do jej rozwoju. Może po wspominały trochę, na początek naszej rozmowy, bo jest Pan przecież łodzianinem z urodzenia...

...I to od wielu pokoleń. Przypadam się, iż w pachołectwie nie przypuszczałem, że życie związane z biblioteką będzie tak ważnym elementem mojego życia. W czasach, gdy biblioteka miała jeszcze swoją siedzibę na ul. Andrzeja 14, korzystałem z jej księgozbioru na specjalnych warunkach, jakby dyrektor Augustyniak przewidywał, że kiedyś go zastąpię. Chodziłem wówczas do szkoły na Zubardzku, przy ul. Aleksandrowskiej, dzisiejszej Limanowskiego i korzystałem jako uczeń z księżnicy przy ul. Rybnej, gdzie była bibliotekarka pani Irena Augustyniakowa. To ona zarekomendowała mnie swemu męgowi i w mych latach gimnazjalnych miałem prawo korzystania z magazynów centralnej biblioteki przy ul. Andrzeja. Ja teraz takich przywilejów nikomu nie daję, ale w okresie międzywojennym robiło się takie wyjątki. W czasie studiów, gdy przyjeżdżałem z Krakowa, miałem zawsze u Jana Augustyniaka swój warsztat pracy. Już po wojnie namawiał mnie, abym został jego zastępcą, ale kierowałem w tym czasie Archiwum m. Łodzi, gdzie było także wiele do zrobienia.

Ale ostatecznie trafił Pan do biblioteki.

Stalo się to piętnaście lat temu, już po przejściu Jana Augustyniaka na emeryturę. A muszę panu powiedzieć, że w ciągu sześćdziesięciu lat swego istnienia biblioteka nasza miała tylko dwóch dyrektorów. Nie ma chyba drugiej instytucji w Polsce, a tym bardziej w Łodzi, gdzie by istniała podobna sytuacja. Przecież ta księżnica powstała w październiku 1917 roku i była początkowo placówką o charakterze społecznym, gdyż dopiero w 1922 roku przejęła ją miasto od Towarzystwa Biblioteki Publicznej. W każdym razie jest to pierwsza i jedyna biblioteka naukowa tego miasta o tak bogatych tradycjach.

Jest to chyba zarazem jedna z pierwszych miejskich bibliotek publicznych w Polsce?

Jest kilka bibliotek starszych. Na przykład Biblioteka m. Stołecznego Warszawy obchodzi w tym roku swoje 70-lecie, podobnie jak Biblioteka im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. Ale w Łodzi jesteśmy jedną z pierwszych placówek kulturalnych. W przemyśle można wyprzedzić dłuższe rodowody, ale my nie mamy fabrykanckich antenatów. U podstaw naszego istnienia legły potrzeby łódzkiego czytelnictwa dostrzeżone przez postępowe koła miasta. Był to trudny okres, trzeci rok I wojny światowej. Ludność Łodzi była rozproszona, panował głód i bezrobocie. A mimo to zebrała się garstka ludzi, którzy powołali do istnienia bibliotekę. Byli wśród nich nauczyciele, lekarze (wśród nich Seweryn Sterling). I znalazł się entuzjasta największy w osobie Jana Augustyniaka. Ten samouk, pracownik widzewskich zakładów, drogą ogromnej pracy doszedł do najwyższych szczebli kariery, po wojnie uzyskał przecież nawet tytuł profesora uniwersytetu. Praca, której się oddawał, musi zachwycać, nawet znając go tak blisko, w pełni nigdy go nie zrozumiałem, może dlatego, że

moja droga życiowa potoczyła się mniej więcej normalnie.

A więc można powiedzieć, że duch Jana Augustyniaka unosi się w tych murach?

Jak najbardziej. Byłbym ogromnie niesprawiedliwy, gdybym o tym nie pamiętał choć przez chwilę. To przecież dzięki jego pasji możemy dziś świętować 60-lecie. To dzięki niemu biblioteka uzyskała w pierwszych dniach swego istnienia gmach przy ul. Andrzeja 14. Zbiory nie były zbyt bogate, ale w ówczesnych warunkach, gdy Łódź nie posiadała ani jednej biblioteki typu naukowo-oświatowego była to naprawdę wielka rzecz. Zaczynając od zera Augustyniak zebrał 50 tys. woluminów, które służyły 600-tysięcznej Łodzi. Nie oznacza to, że wcześniej w Łodzi nie było absolutnie żadnych księgozbiorów, bo książki posiadali fabrykanci, pracownicy nauki, szkoły, ale te kolekcje były niedostępne.

Jan Augustyniak zaczynał jako samouk. Czy dziś bibliotekarstwo stało się zawodem?

To na pewno zawód, chociaż rzadko kto marzy o nim we wczesnym dzieciństwie. Zainteresowanie pracą w bibliotece przychodzi znacznie później, ale to na pewno profesja i to bardzo odpowiedzialna. W naszej bibliotece głównej zatrudniamy ponad 100 pracowników, w tym prawie 60 proc. pracowników z wyższym wykształceniem, często o specjalności bibliotecznej. Bibliotekarze stanowią dziś potężną grupę zawodową. Proszę pamiętać, że w naszym województwie miejskim posiadamy 152 biblioteki publiczne. A trzeba doliczyć biblioteki naukowe, specjalistyczne, związkowe.

Jakie miejsce wśród tych bibliotek zajmuje wasza placówka?

Jesteśmy bez wątpienia placówką najstarszą. Nie wprawiliśmy naszej działalności nawet w czasie okupacji. Wprawdzie organizacyjnie biblioteka nasza wtedy nie istniała, ale istniał księgozbiór i był użytkowany za piecami Niemców. A w roku 1945, kiedy wskutek zmiany warunków społecznych nastąpiła w Łodzi eksplozja kultury, byliśmy jedyną biblioteką z której korzystało całe środowisko naukowe. Jan Augustyniak już w pierwszych dniach po wyzwoleniu zaczął porządkować zachowany księgozbiór. Badał także straty, które przyniosła wojna. Ta sytuacja trwała do 1949 roku, kiedy przeniesiliśmy się z ul. Andrzeja do nowego gmachu, który do dziś jest naszą siedzibą.

Czytałem gdzieś, że ten gmach przy ul. Gdańskiej zaprojektowany został jeszcze przed wojną.

To miała być fundacja przemysłu łódzkiego, co było także zasługą dyrektora Augustyniaka, który mobilizował opinię publiczną uczulając ją na oplakane warunki lokalowe przy ul. Andrzeja. Konsepcję nowego gmachu opracowali dwaj projektanci: dyrektor Augustyniak oraz inżynier Wierzbicki z Warszawy. Miasto dało teren przy zbiegu ulic Kopernika i Gdańskiej. Było tu wtedy cicho, w pobliżu przechodziła tylko jedna linia tramwajowa na Dworzec Kaliski i trudno było przewidzieć, że w przyszłości stworzy się tu ruchliwy węzeł komunikacyjny. Powstało zresztą coś więcej, swoiste mini-centrum kulturalne ze względu na bliskie teatry i instytutów. Gmach, który ukończony został w roku 1949 był czymś imponującym, ale dziś nie wystarcza. Miasto się rozrosło, ma ogromną problematykę i wzrosło zapotrzebowanie na książkę. Nasza księżnica jest biblioteką społeczeństwa

łódzkiego. I dlatego mamy taką ogromną frekwencję.

Nie wiem dlaczego, ale jako student wolałem przychodzić tutaj niż do Biblioteki Uniwersyteckiej.

Bo tam trzeba czekać na książkę kilka godzin, a czasem kilka dni. U nas od samego początku księgozbiór ma charakter prezentacyjny. Każda książka jest na miejscu, gdyż w zasadzie nie wypożyczamy jej poza mury biblioteki. Stworzyliśmy natomiast na miejscu taki system udostępniania, że książka trafia do rąk czytelnika po pięciu minutach. Teraz czas ten wydłużył się do dziesięciu minut.

Bo zapewne przybyło pótek bibliotecznych?

Przybyło nie tylko pótek, ale także nowy pawilon, który nie posiada bezpośredniej łączności technicznej z naszą czytelnią. Nie ułatwia to pracy. Ale to wydłużenie czasu oczekiwania na książkę staramy się wynagrodzić czytelnikowi innymi atrakcjami. Jesteśmy jedyną biblioteką łódzką, która posiada przywilej egzemplarza sygnałowego, udostępniamy książki, których nie ma jeszcze na rynku księgarskim i trafiają tam dopiero po kilku tygodniach. Egzemplarze sygnałowe trafiają bezpośrednio z druku, nie do rąk czytelnika bez całej manipulacji „biurokratyczno”-bibliotekarskiej, bez opracowania katalogowego.

A jak długo trwa wprowadzenie jakichś pozycji do katalogu?

Różnie, choć staramy się, aby książka współczesna docierała do czytelnika już po tygodniu, co nie zawsze jest możliwe. Egzemplarze sygnałowe przekazujemy bez opracowania, co robi się później, kiedy książka znajduje się już na rynku. I ze względu na tę szybkość mamy wielu czytelników wśród pracowników nauki. Biblioteka Uniwersytecka, która posiada przywilej ogólnopolskiego egzemplarza obowiązkowego, z natury rzeczy nie może mieć tej operatywności. My posiadamy egzemplarz obowiązkowy tylko w zakresie literatury regionalnej, choć od przyszłego roku będziemy mieli egzemplarz obowiązkowy krajowy. Cieszy nas to, ale i martwi.

Ze względu na brak miejsca w magazynach?

Właśnie. Bedziemy musieli przyjmować wszystko, co przysła drukarnie. A pótek jest za mało. Prócz tego przez tyle lat pracy poznaliśmy już potrzeby naszych czytelników i staramy się pod kątem ich zainteresowań kompletować księgozbiór. Na popularność naszej biblioteki zapracowało nie tylko 60 lat jej istnienia. Zapracowała głównie atmosfera, gdyż czytelnik czuje się u nas dobrze. Nie potrzebowałoby wywieźć szylid. I tak odwieźdza nas w ciągu dnia blisko 800 czytelników.

A co właściwie wiadomo o tych czytelnikach? Przed wejściem wypełnia się u was swoista ankieta. Czy materiały te są w jakiś sposób wykorzystywane?

Chcemy znać potrzeby i zamiłowania naszych czytelników i pod tym kątem kształtować księgozbiór. Chcemy także wiedzieć jak często jest w obiegu konkretna książka. Materiały te opracowywane są przez naszą bibliotekę. Od czasu do czasu zagląda tu też prof. Antonina Klosowska ze swoimi studentami, którzy prowadzą badania na temat zainteresowań czytelników łodzian. System mini-ankiet istnieje u nas od samego początku, wprowadził go w okresie międzywojennym dyrektor Augustyniak. Na ich podstawie można stwierdzić, że w 20-lecie międzywojennym przychodziło do nas wielu robotników, więcej niż obecnie. Ale dziś robotnicy korzystają głównie z bibliotek rejonowych.

Na zmianę tego obrazu wpłynął chyba także awans klasy robotniczej?

Oczywiście. Jan Augustyniak napisał nawet rozprawę na ten temat. Badał ankiety chciał poznać nawet kaprysy naszych czytelników.

Rezultatem tych badań jest specjalizacja biblioteki. Jak można określić wasz profil?

Ponieważ jesteśmy jedyną biblioteką miasta o statusie naukowym nadanym nam przez premiera, zbiory nasze mają charakter uniwersalny. Nie może u nas zabraknąć zasadniczych książek z dziedziny techniki, matematyki czy fizyki. Ale specjalizacja naszej biblioteki od samego początku są bardzo szeroko pojęte nauki społeczne z preferencją dla humanistyki, głównie w zakresie polonistyki i historii. Jak każda szanująca się biblioteka posiadamy także zbiory specjalne: starodruki, mapy, nuty, ryciny. Mało znaną stroną naszej działalności jest muzeum książki dziejecej, chociaż informacje o tym weszły do zagranicznych leksykonów. Otrzymujemy wiele listów od zainteresowanych tymi zbiorami, które choć traktują o dziecku, nie są przeznaczone dla dzieci. Biblioteka nasza

jako publiczna jest zresztą bardzo nietypowa, bo wprowadziliśmy cenzurę wieku. W zasadzie mogą z niej korzystać tylko dorośli.

Ale chyba robicie wyjątki?

Oczywiście nie odmawiamy nikomu swojej pomocy. Ale z młodzieżą pracują nasze publiczne biblioteki rejonowe dla młodego czytelnika.

Mówiąc o specjalizacji nie wspominał Pan o literaturze regionalnej, chociaż sam Pan jest autorem zajmującym się historią Łodzi.

Interesowałem się zawsze Łodzią przedprzemysłową, która była najmniejszą znaną. Już podczas studiów natknąłem się w Bibliotece Jagiellońskiej na wpis profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego z wieku XVI Pawła Roszkowica, który pochodził z Łodzi i na rzecz rodzinnego miasta oraz swej siostry przekazał w testamentie różne dostaki. Ja ten testament opublikowałem w III tomie „Rocznika Łódzkiego”, który ukazał się w roku 1939. W tym czasie podjąłem pracę w łódzkim archiwum i chętnie przystąpiłem do lamów „Dziennika Urzędowego m. Łodzi”, gdzie opublikowałem kilka rozprawek, wśród nich pracę o moim antenacie Aleksym Drownowiczu, który był burmistrzem w Łodzi w wieku XVIII. Po wojnie, kiedy związałem się z Uniwersytetem Łódzkim, zająłem się wiekiem XIX. Wydałem „Materiały do dziejów miast w I połowie XIX wieku”, gdzie zebrałem dokumenty nadsyłane przez miejskiego osadom przemysłowym poczynając od roku 1816 aż po lata sześćdziesiąte ubiegłego stulecia. Wydałem także na światło dzienne pierwsze umowy czeladzi tkackiej w Zgierzu, Tomaszowie, w Pabianicach.

Czy nie uważa Pan, że Łódź jest specjalnym miastem, gdzie potrzebne są nie tylko prace naukowe, ale nawet czysto popularyzatorskie?

Tak, to ciekawe, że historia Łodzi wciąż nie jest znana, mimo że jest wiele publikacji. Brakuje nam bardzo takiej serii wydawniczej jak „Biblioteka Syrenki”. Tylko który wydawca podejmie się tego zadania? Tematów jest w bród. Weźmy choćby pod uwagę tylko sterników nawy miejskiej. Czy pan wie, że w swej historii Łódź miała do tej pory 88 burmistrzów i prezydentów? O którym z nich wiemy cokolwiek? A są wśród nich takie piękne postaci jak Andrzej Rosicki, Aleksy Rzewski, Bronisław Ziemiński, Norbert Bartleki, A Tangermann? A inni? Nie mamy także monografii działaczy robotniczych.

A przecież jest w waszej bibliotece tyle książek związanych z regionem...

Zbiór literatury regionalnej byłby znacznie obszerniejszy, gdyby zaczęła się kolekcja łodzianów, którą posiadaliśmy przed wojną. Jan Augustyniak w 1917 roku nawiązał kontakty z cenzurą, w owym czasie jeszcze niemiecką i dzięki temu zaczęliśmy otrzymywać wszystkie książki, broszury i czasopisma drukowane w Łodzi. Władze polskie, starostwo grodzkie, kontynuowały ten zwyczaj. W czasie ostatniej wojny, kiedy znów gospodarowali tu Niemcy interesowały ich dwa działy: literatury regionalnej i literatury „bolszewickiej” a więc wszystkie książki o Związku Radzieckim, ruchu robotniczym i komunistycznym. Te działy zostały przez nich wywiezione z Łodzi. Prawdopodobnie kolekcja ta znajduje się dziś w bibliotece Ostinstitut w Stuttgarcie. Dzisiejszy dział regionalny składa się z pozycji nabytych po wojnie. Oczywiście staramy się go odbudować, ale wiele pozycji przepadło bezpowrotnie. Statutowo jesteśmy zobowiązani do pracy nad regionem, toteż gromadzimy wszystko, co dotyczy Łodzi i województw ościennych: książki, czasopisma, mapy, ilustracje. Te zbiory stanowią podstawę do naszych prac bibliograficznych, gdyż w tym zakresie prowadzimy własną działalność wydawniczą. Innych tematów w zasadzie nie podejmujemy, gdyż wiele wysiłków poświęciliśmy kształtowaniu kultury czytelniczej i propagandzie książki.

A jak poszerzacie księgozbiór?

Głównie dzięki zakupom. I wychodzimy na tym dobrze, gdyż miasto jest szczerzym mecenasem. Tylko w tym roku wydamy na książki ponad 2 mln zł. Jeśli biblioteka jest zasobna, to taką sumę trudno wydać. Robimy także systematyczne zakupy w antykwariatach całego kraju nie ograniczając się do aukcji książki. W antykwariatach znają już nas i pozwalają nam buszować na półkach. Z zakupów bieżących i antykwarycznych z obowiązkowego egzemplarza regionalnego oraz z darów biblioteka nasza wzbogaca się rocznie o 15-20 tys. pozycji. To duży przyrost. Na jubileusz 50-lecia otrzymaliśmy nowy magazyn o 6 kondygnacjach, gdzie mieści się pomieszczenie 100 tys. tomów. Pomieściliśmy tam dwa razy tyle jednostek bibliotecznych. Ale niedużo przyjdzie nam chyba wykladać książki na zieleńcu przed gmachem.

A jaka jest struktura waszych zbiorów?

Posiadamy inkunabuly, czyli druki z wieku XV, starodruki, dla których jako cenzurę przyjęliśmy rok 1830 i książki nowe. Przeważa literatura w języku polskim stanowiąca ponad 60 procent naszych zbiorów, a potem kolejno książki rosyjskie i niemieckie. Mamy także nieco książek angielskich, francuskich, włoskich, węgierskich, rumuńskich, łacińskich. Spośród pozycji obcojęzycznych największe zainteresowanie jest literaturą angielską.

Domyślam się, że biblioteka posiada własną pulę dewizową?

Jak dotąd nie, choć sytuacja ta powinna się zmienić w przyszłym roku. W literaturę obcą zaopatrujemy się w „Domu Książki”. Pula dewizowa pozwoli nam na bardziej elastyczne zakupy, bo teraz musimy brać to, co po prostu jest dostępne na naszym rynku. Ale mimo to, dzięki dobrej współpracy z księgarniami warszawskimi, otrzymujemy wartościowe pozycje dewizowe.

Z dotychczasowych wypowiedzi Pana dowiedziałem się niemal o pracy bibliotekarzy. A jak Pan dyrektor określiłby ich status społeczny?

To nie takie proste. Bibliotekarze pracują na pierwszej linii frontu ideologicznego i wymagania w stosunku do nich są coraz większe. W zasadzie muszą posiadać wyższe wykształcenie, znać języki obce, ciągle się dokształcać politycznie i fachowo. Wreszcie bibliotekarze powinni posiadać uśmiech i pogodę ducha, zwłaszcza bibliotekarze frontowi, którzy bezpośrednio stykają się z czytelnikiem. Wymagania są więc bardzo duże. Dlatego zwłaszcza wśród pracowników młodych obserwujemy plynność kadr. Im się zdaje, kiedy przychodzi do nas, że praca tutaj to tylko flirt z książką. Mniej odpornych przeraża nawał obowiązków, przy których trudno jest korzystać z uroków życia. Udostępniamy przecież ponad 400 tys. jednostek bibliotecznych. To niewiele w porównaniu z Biblioteką Narodową, która ma dziesięciokrotnie większy księgozbiór. Ale czytelnia tamtej biblioteki liczy tylko 72 miejsca. Nasza czytelnia ma 250 miejsc. A więc pracy jest więcej. Ale jest u nas wielu bibliotekarzy o stażu 20-letnim. Pewien wpływ na plynność kadr mają też na pewno niskie zarobki, chociaż ja zawsze powtarzam, że praca w Bibliotece im. Waryńskiego jest dla bibliotekarza zaszczytem. I to jest prawda.

A których bibliotekarzy wyróżniłby Pan dyrektor szczególnie?

Snując jubileuszowe wspomnienia trudno nie wspomnieć Izabeli Nagórskiej, która pracowała u nas 40 lat i w tym roku odešla na emeryturę. Jest zresztą nadal bardzo czynna, przewodniczy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy, ogłasza wiele prac w fachowych czasopiśmie. Z biblioteką tą związana jest bez reszty Zofia Strzelecka, która także w tym roku przeszła na emeryturę, ale w dalszym ciągu pomaga nam w wielu pracach, a zaraz po wojnie wspólnie z Janem Augustyniakiem organizowała sieć biblioteczną w Łodzi. Trzeba także pamiętać, że biblioteka nasza wychowała wartościowe kadry bibliotekarzy zajmujących dziś bardzo odpowiedzialne stanowiska. Z naszej księżnicy wywodzi się doc. Lepalczyk, dr Jolanta Kowalczyk, pani Maciąska, pani Cecylia Duninowa.

Ale mówiąc o zasłużonych pracownikach nie mogę pominąć brygadiera grupy sprzątaczek, pani Zuzanny Pióróg, która pracuje u nas ponad 20 lat, posiada wiele odznaczeń i jest jednocześnie społecznym kierownikiem świetlicy i punktu bibliotecznego na Braliniku. Zresztą nie narzekamy na brak ofiarnych pracowników, którzy bez reszty poświęcili swe życie pracy wśród książek.

Gratulując jubileuszu życze jednocześnie bibliotekarzom w imieniu naszych czytelników pomyślności w życiu osobistym i sukcesów w pracy zawodowej. Dziękuję też za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREDLICH

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nieważne, ale było o Wieluniu. Ta książeczka zafascynowała mnie — jednak ktoś o tym Wieluniu wiedział i chciałem, taka dziecięca ciekawość, aby ludzie wiedzieli więcej. Aby coś dla miasta, właśnie tego zrobić. Tak chyba wchodziłem do swego Wielunia. Zbierałem wszystko, co było pod ręką, a mnie, jeszcze dziecku, wydawało się wartościową większą niż czas... (wchodzi starsza pani)

— Panie dyrektorze, czy można? Pani Wiesia chce kopać kartofle, to ja ją dziś zastąpię, a ona jutro...

— Dobrze, dobrze, załatwie między sobą... Widzi pan, człowiek zmierz do swego miasta. Tak jest dobrze. Przez całe życie. Gdy pierwszy raz samodzielnie jechałem do Wielunia to miałem harcerski mundur i czerwona chusta. Wiozłem dzieci na wozie ojca. To naszywało się podwójne, taki szarwark. Wiozłem do Wielunia na pierwszomajową manifestację. Mówili mi — ledwie odrósł od ziemi, a już komunista, a ja nie wiedziałem co to znaczy... Ten Wieluń tak rosił we mnie. Liceum pedagogiczne, później studia, ciągle Wieluń. I teraz też, jakby to zawsze było. Wie pan, gdy skończyłem liceum, to był czas nakazów pracy. Na studia szkoła miała limit, a mnie zdawało się, że w dwójce wytypowanych nie zmieszczę się. Na maturze dostałem najlepszy dyplom i mogłem być przyjęty na wybraną uczelnię bez egzaminu, ale o tym dowiedziałem się dopiero po maturze, a właściwie to oficjalnie prawo przyznano mi w dwa miesiące później, gdy już byłem studentem. To nieważne. Wczesniej, w lutym, może marcu, napisałem prośbę do prezydenta Bieruta, nie nikomu nie mówiąc. Napisałem, że chcę studiować i służyć swojej ziemi...

— Tak właśnie — służyć swojej ziemi?

— Tak, dokładnie tak. Gdy podanie wróciło z powrotem, to ja już byłem studentem, bo jeden z kolegów, wytypowany na studia, odstąpił mi swoje miejsce. On też skończył studia, zaocznie, jest dziś w milicji. Dyplom „Przodownika nauki o pracę” też był spóźniony. Myślę o tym, bo gdzieś tam w sobie zawsze bardzo chciałem być w Wieluniu...

Sekretarz propagandy KM:

— „Miasto jest cementowane. Czyny społeczne, to widać. Amfiteatr za 13 milionów, strażnica, szóbek. Mamy cztery, szóki oczywiście. Ludzie są tacy, że warto się z nimi spotkać. Każdy wie, ile dziur w chodniku. Zwłaszcza stary, bo młody to przeszkadza takie problemy. To dobrze, że są i tacy, i tacy. Zapatrzenie do tyłu to wegetacja. Tylko trwać to wegetować. Trzeba myśleć co jutro... I ludzie do tego zmuszają. Tak, zmusza. Dyrektorów mamy 37. Młodych, głównie młodych.

— Co znaczy dla was, sekretarzu, człowiek młody?

— Młody? Władom, musi mieć te energie, rozmach i działanie szerokie. Wszystko... Wiek to tak niewiele ponad trzydzieści, góra. Tak trzeba to widzieć. Najwyżej!

Retrospekcja porucznika Wójta:
— „Komenda była bez komendanta. Bez siedziby z prawdziwego zdarzenia. Sliwiński przyjechał tu osiem lat temu. Jak miał dwadzieścia trzy lata.

Trzeba było zacząć wcześniej autorytet komendy straży. Wczesniej było tutaj dużo (porucznik mówił to przykładając powolnym gestem prawą dłoń do szyi) jakies malwersacje, sąd i tak dalej. Został tylko jeden człowiek z zawodowych. Sliwiński włączył w bagno i musiał jakoś uzdrowić sytuację. Ludzi, sprawy szkolenia, wyposażenie w sprzęt. Jak mówiłem, miał dwadzieścia trzy lata. Nieciekawa sytuacja, bagienko, trzeba było silnej ręki. On był jak szeryf, który wie czego chce. No bo tym filmowym szeryfom, którzy przyjeżdżali do naszych miasteczek chodziło tylko o to, żeby był spokój i porządek. A Sliwiński chciał, żeby byli tacy a nie inni ludzie, którzy by ten spokój i porządek zaprowadzili, a następnie pilnowali tego co osiągnęli. Miał dwa cele. Pierwszy to właściwy poziom ochrony przeciwpożarowej. Drugi to stworzyć zawodową straż pożarną. Miasto się rozwijało. Okolice też.

Dr Olejnik:
— „Byłem woźnym, palaczem, kierownikiem, strażnikiem, co pan sobie życzy, a dyrektorem to w aktach. Jednoosobowo, bo dziś to w muzeum czterech po studiach, a w sumie dziesięć osób. W trzydziestą rocznicę tej łuny, tego mojego pierwszego Wielunia, otwarto w muzeum wystawę „Wieluń oskarża”. Pierwsza wystawa. To jest data do zapamiętania. Wcześniej było ich wiele, ale ta była szczególna, pan wie? Ten budynek, początek XVII wieku, jest dziś jednym z najpiękniejszych w mieście. To była kiedyś stolarnia. Pałła się, jakby strącały nigdy tu nie było, chyba trzy razy po wojnie. Tu mam zdjęcia, chwileczkę... Prawda, rudera? A tu... Nic nie ma... Przez rok stała opuszczona po ostatnim ogniu, to było w 64. W 1965 rozpoczęły się prace konserwatorskie i tak było przez cztery, prawie pięć lat. Teraz sam pan widzi. Wystawa, sala koncertowa — przyjeżdża tu Czerny-Steńska, Wilkomirska... Wieluń ma tradycje, obok Sieradza, Łęczycy i Piotrkowa to najstarsze miasto w Łódzkiem, w dawnym układzie. Muzeum było tu już w okresie między-

WIELUNIAKI SIERADZKIE

wojennym, a po wojnie najpierw Sieradz — 1947, w dwa lata później Łęczycy, miały swoje muzea. My — nie. To była dziwna sprawa, bo skoro nie ma muzeum to nie może być zbiorów, a jeśli nie ma zbiorów — co zostało po bombardowaniu Niemcy zagrabili, a więc skoro nie ma zbiorów, to nie może być muzeum. Koko się zamykało i tak w kółko. Ale może ja zacząć wcześniej... Na studiach pisywałem do gazet, takie historyczne artykuły. Tu przecież, w Wieluniu wychodziła „Gazeta Wieluńska”, tygodnik kulturalny, mutacja „Gazety Częstochowskiej”, także „Nowy Nurt”. Pisałem o przeszłości Wielunia, o historii miasta i ziemi, bo to... Mówiłem zresztą. Kiedyś, na pierwszej stronie wieluńskich literami tytuł — „Ziemia wieluńska ośrodek zainteresowania historyków łódzkich”. A w podpisie, taki i taki student IV roku. Jeszcze wcześniej, na trzecim, przetrzasną, na pierwszym roku, to było w 56, zamieściłem artykuł na temat potrzeby zorganizowania muzeum regionalnego. Argumentowałem, że Sieradz jest ośrodkiem równorzędny i ma muzeum, a Wieluń, wiadomo. To było pierwsze publiczne wystąpienie na temat reaktywowania muzeum. Pan się zdziwił; tak — właśnie reaktywowanie. Ze zbiorów nie zostało, a tu reaktywowanie. Tak było łatwiej, taktyka była łatwiejsza. Ja tak opowiadałem, nie wiem, czy to pana nie nudzi, ale dla mnie, pan wie, muzeum... A więc po studiach zacząłem pracę w Sieradzu, w muzeum, jako młodszy asystent kustosa, aby poznać muzealnictwo, bo sam jestem przecież historykiem. Było zastrzeżenie, że będę mógł dojeżdżać do Wielunia i organizować tu muzeum. Tak się złożyło, że powstało Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Wieluńskiej, choć tego muzeum jeszcze wcale nie było! Po dwóch latach przeniosłem się do Wielunia, na stałe, choć nie całkowicie. Mieszkałem u teściów, w Ostrówku. I dopiero na początku 1964 roku w dwóch pokoiach, pokoiach, po bibliotece, zrobiłem to muzeum. Dalej już mówiłem... Nie powiem, pomagali choć nie wszyscy. Życzliwych było jednak więcej, ale trzeba było też przekonać. No bo tak — zacząłem, jeszcze jako kierownik domu kultury organizować spotkania. Najpierw dr Rosin z Łodzi z odczytem na temat Wielunia w XV i XVI wieku, pełna sala. Później łódzcy architekci o wizji Wielunia za 10—15 lat. Brakowało miejsca na sali! Ktoś psoczył, że droga pójdzie przez jego ogródek, komuś miała zabrać jabłoni w sadzie. To ludzi brako. Czują się, że czują się bardziej wieluńskimi. Tak, właśnie tak, dobrze powiedziałem. Bardziej się czują. I była akcja zbiorów, społeczna, ale spontaniczna. Rosło to. Sytuacja wówczas była nieciekawa, ale zawsze pod koniec roku, po połowie grudnia miałem trochę grosza do wydania. Trzeba było wydać, na kulturę, a muzeum to przecież też kultura. To kupowałem stroje wieluńskie, wełniane, hafty... Zaprosiłem archeologów z Łodzi. Przyjechała Anna Zabkiewicz-Koszarska. Zleciłem badania archeologiczne w Dąbrowie, na przedmieściu Wielunia. I znowu kilkadziesiąt cennych zabytków z okresu kultury żyzkiej. Później był przebudowany rynek w Wieluniu — znowu to samo. Można wyczytać, albo nie, to pana sprawa, ale ja miałem ciągle ten cały Wieluń, tradycje i historię, w głowie. Razem z muzeum, którego nie było”.

On: Zgadza się.
Ja: Czyli, że przyjeżdżał do wsi, zbierał dziewczyny i chłopaków w starej remizie i mówił im, że może być fajnie, że można zbudować lepszą, spotykać się z ciekawymi ludźmi, tańczyć, uczyć się sztuki gaszenia pożaru...
On: Zgadza się.
Ja: Rozumiem, że wyniki tej działalności, na przykład ten prawie pałac strażacki za trzy miliony sześćset tysięcy w miejscowości Wierzbilas to nie tylko gotowy piękny obiekt, ale wiele godzin, w których młodzieńcy nie pili, nie wdawali się w bójkę bo po prostu pracowali, a teraz tam mają, dajmy na to, zabawy ze swoją orkiestrą...
On: Zgadza się.
Ja: Zajmując się terenem, robił też jak pan mówił te zbiorniki wodne na wypadek pożaru, zastawki na strumieniach gdzie można czerpać wodę w razie pożaru — to też robił z młodzieżą i starszymi ochotnikami straży, integrował środowisko ten młody komendant Sliwiński.

On: Zgadza się.
Dyrektor muzeum:
„Autobus z Wielunia do Sieradza kosztuje 22 złote, jeśli zahaczy o Ostrówek. Jeśli wali prosto — tylko dwadzieścia. Ostatni odjeżdża z Sieradza o 19,47. Tak, na pewno. Mam to w głowie... Na pamięć. Tyle lat! O, proszę spojrzeć... Przepraszam... Nie zgadza się. Jednak o 19,28 teraz. Nowy rozkład. Ale to wszystko dlatego, że człowiek dostał syrenkę. Dostał? Zdobyl! Kilka miesięcy temu pomyślałem, że przecież dla muzeum jest to potrzebne. Wiedziałem, że w gospodarstwie szkółkarskim stoi syrena, ta rolnicza, r-20. Dostali tarpana, to syrena w zapomnienie. Jechaliśmy na teren Załęczowskiego Parku Krajoobrazowego. Ja, wojewódzki konserwator ochrony przyrody, wojewódzki konserwator zabytków. Jedziemy sobie nyską. Jedziemy i tak w rozmowie, że mógłbym, ja mówię, zrobić więcej dla powstającego parku, ale gdybym miał środek lokomocji. Oni to zaakceptowali, ja podsunąłem też syrenkę. I decyzyja zapadła, a ja, pan widzi, zapomniałem ostatniego autobusu z Sieradza do Wielunia... A w tym parku na terenie Bobrownik nad Wartą, chcemy kupić i przenieść jedną starą chałupę, na początek. Zabytkowych chałup jest tu jeszcze sporo...”

Dialog z sekretarzem:
— Ten kominiot ciepłownia. Pierwsza w województwie. Oczyszcza miasto w przyszłym roku. Ale o przemysle trzeba myśleć.

— Dlaczego, sekretarzu, skoro naszym „eksportem” pozostaje głównie to co z ziemi? Wczesne ziemniaki, warzywa, owoce. Tak przecież mówił, że to absorbuje ludzi. Większa produkcja, fachowość, zaplecze, wszystkie służby agrotechniczne...

— To nie tak, redaktorze. Owszem, produkcja rolnicza, tak. Przemysł, w umiarze, ale dobry, silny, taki wiecie, nowoczesny. On ciągnie w górę. Inwestycje, kultura, kadry, a także, to trzeba podkreślić, rolnictwo. Tak to widzimy. Jesteśmy w takim trójkącie. Wieluń — Bełchatów — Katowice...

— Częstochowa...
— Nie, Śląsk, Katowice bardziej. Wieluń ciągnie do Śląska. Pracowało tam i pracuje nadal kilka, może kilkanaście tysięcy ludzi. Brakuje nam dziś do pełnego limitu gdzieś tysiąc pracowników. Głównie w budownictwie. Gdy rolnictwo wejście na wyższy poziom, a tak musi się stać, prawda, będzie chyba nadwyżka. Niech ona pracuje na miejscu, właśnie w przemyśle, dla Wielunia.

— Czy to nie dziwne, że nawet w Łodzi, wiadomo, miasto ogromne, robił także duże owoce? No bo jak to tak — gdzieś tam w jakimś Wieluniu, jakiś ZUGIL, ledwie trzy tysiące ludzi pracuje i ma pod sobą biuro projektów i studiów w samej Łodzi? Czy to nie dziwne, mówili. Nie, to nie dziwne, nas wszystkich tu, nikogo nie dziwi. No bo co w tym dziwnego, że ci wszyscy inżynierowie, a jest ich za trzy setki, może więcej, pracują dla naszego zakładu? ZUGIL jest znany na rynku. Przyjeżdżają ludzie od Fiata, z Bielska i Tychów, ale także z Anglii, Niemiec Zachodnich, a nawet i Libanu... Cają lakier-

nie dla małego Fiata, kompletnie. Później dla Plocka. Wszystko co z urządzeniami galwanicznymi, lakierniczymi — to od nas. Półtora miliona. To jest liczba. Większa od Wielunia! A wiecie, co było na początek?! Właśnie, nie wiecie — była stajnia. Kozacka stajnia! A Budomasz powstał w oborze. I też jest dobrze. Bo wcale nie jest ważne, gdzie się co rodzi... Bylibyśmy już miastem akademickim. Tak, tak właśnie. Nie trzeba się dziwić. Dziś byłaby już filia wyższej szkoły inżynierskiej, może politechniki. Taka Praszka, teraz pod Częstochową — mają filie. W Sieradzu — też teraz rusza! No i co, nie mogła być u nas?! Mogła! Taki mój znajomy, w ministerstwie, mówi mi tak — Gienek, mówi, każdy by chciał. Kiedyś było 19 żądnych, dziś, 49, powiedzmy, ambitnych na miarę. To taki żart, ale zastanów się i chyba mam rację — mogliśmy mieć filie.

Olejnik mówił tak:
„Nie byłem niezbędny dla miasta. Jak wszyscy w kulturze. Pracowało się za nędzne grosze. Pensja tysiąc sto, Sieradz — Wieluń i z powrotem. Autobusy, za własne, a jak, pieniądza. To prawda, nie byłem niezbędny. Tak mówiono, ale gdyby wszystkiego słuchać... Mieszkałem w jednym pokoju, pięciosobowa rodzina. Kierownik domu kultury, a później muzeum. Gdzie miałem siedzieć? W pracy, tylko w pracy. Pisałem doktorat. „Realizacja hitlerowskiej polityki walki z polskością w powiecie wieluńskim 1939—1945” u prof. Józefa Dutkiewicza. Obrona w 1972, w rok później nagroda WRN w Łodzi, to jeszcze stary układ, za najlepszą pracę naukową... A mieszkanie: to dostatek, nie tak dawno temu, dzięki interwencji Kobieli. Jerzy Kobiela, wicewojewoda, pochodzi z Jaworzna pod Wieluniem. Jeszcze wtedy, jak był tu pierwszym sekretarzem...”

— Zmieniamy temat — powiedziałem do komendanta Rejonowego Straży Pożarnej, porucznika pożarnictwa, Józefa Wójta — o pożarach w Wieluniu niech pan coś powie. W Wieluniu i okolicach. Co się paliło, gdzie, jak to gasiście, no bo, kiedys gąsyzalem od strażaka, że każdy pożar jest inny. „Zgadza się”, powtórzył już któryś raz z kolei porucznik i powiedział, że palą się wsie. „Wiesz się przede wszystkim pali”, tak powiedział dwa razy. No i mówił, mi, że „to są normalne pożary, normalne, jak to na wsi. Nie specjalnie ciekawe do opisanie. Już lepiej o pożarze system na stacji kolejowej w Siemkowiecach powiem. To był kwiecień, wielka sobota, 17 kwietnia 1976 roku. Była godzina jedenasta w dzień. Ja i Sliwiński byliśmy w komendzie, to był normalny dzień pracy. O pożarze zawiadomila nas stacja kolejowa. Decyzja krótka: wszystkie jednostki do Siemkowiec. Najważniejsza była sprawa zamknięcia piomienia w zaworach, prądem pianny. Odiączyliśmy drugą cysternę na dalszą odległość i tę palącą się gasiliśmy. Rozgrzana ropa wylewała się i natychmiast zapalała. Potem przyjechał samochód proskowski, zawiadomiony poprzez wojewódzkie stanowisko kierowania. Nastąpił zmasowany atak prosku i pianny. Akcja trwała cztery godziny. Wtedy w akcji, szef, to znaczy Sliwiński, który miał dowodzić był cały czas opanowany, konkretny. Drugi z większych pożarów miał miejsce w wieluńskiej cukrowni. Też kwiecień, też siedemdziesiąty szósty. Palił się dach na głównej hali produkcyjnej. Byłem tam również ze Sliwińskim, on kierował akcją gaśniczą. Pożar został ugaszony dzięki jego decyzjom. Trudno teraz mówić jakie one były. To są urwane słowa, czasem zaledwie gesty. Wszystko w biegu, nie ma czasu na zastanawianie się. Krótko powiem, że straty wyniosły 15 tysięcy złotych. A gdyby nie udało się ugasić pożaru, dach spadłby na halę, gdzie tyle nowych maszyn i urządzeń. Straty wyniosłyby wtedy 60 milionów. Akcja gaszenia dachu trwała dwie godziny”.

Mosbach, z listu do przebywającej na Śląsku królowej Marii Ludwiki w 1656 roku:
„Skoro starosta habimowski cofnął się z miasta Wielunia, Szwedzi wadłwyszy, wszystkich, którzy się w ich ręce dostali,

wycieli w pień tak, że ledwo psy zostawili przy życiu. Spalili nie tylko zamiek, ale i wszystkie domy miasta Wielunia”.

— W czasach potopu szwedzkiego spalanie miasta było rzeczą normalną. Prawie trzysta lat później też okazało się dziełem godnym ludzi, a raczej nadludzi. Ten cytat jest godny uwagi, bo Wieluń jako miasto ponajmniej jedną z pierwszych prób oporu, a spalenie miasta było odwetem ze strony szwedzkich najazdców — tak powiedział historyk, Tadeusz Olejnik.

Monolog majora pożarnictwa:
— „Rok po przyjeździe do tego miasta urodził się mój syn Artur...”

Ciąg dalszy monologu majora pożarnictwa:
— „Nie pamiętam ile ważył. Teraz chodzi do I klasy. Więc jeśli chodzi o model, to 2+1. Pochodzą z byłego powiatu radomszczańskiego. Teraz jest to województwo piotrkowskie. W Toruniu ukończyłem szkołę średnią, a potem poszedłem do szkoły oficerskiej w Warszawie, 3 lata edukacji, następnie straż w Sieradzu. Jako porucznik w latach 65—67, Zonna — jeszcze nie żona, studiowała w tym czasie na Uniwersytecie Łódzkim biochemię. W Sieradzu moim komendantem był facet, który okazał się być później moim teściem. Ania kończyła studia, od września miała pracować w Sanatorium koło Wałbrzycha. W czasie studiów przyjeżdżała do ojca, do komendy. Tak ja poznałem. Więc gdyby nie ta praktyka w Sieradzu nie miałbym Ani. Ani Artura. Wesela było w Sieradzu. Przyjechała na ten ślub z Wałbrzycha, gdzie, jak mówiłem, po studiach rozpoczęła tam pracę. Była tam już pół roku. Pojechałem tam. Później, nie wiem czy mówił pan o tym z porucznikiem, zresztą nie ma co starych czasów wspominać, było to podobno źle. Więc zostałem przeniesiony służbowo. Na Wieluń mnie rzucili. I tak żona przyjechała ze mną do tego miasta. Zostałem komendantem straży pożarnej w Wieluniu. Potem jak zbudowaliśmy ten ośrodek, jak w województwie sieradzkim straż nasza stała na poziomie, powstał u nas, w Wieluniu, Wojewódzki Ośrodek Szkolenia Pożarniczego w Sieradzu z siedzibą w Wieluniu. I bardzo dobrze. Faktycznie obiekt najlepszy w województwie. Mianowano mnie komendantem. Mój najpiękniejszy dzień tutaj... No dużo, dużo ich było, na pewno bardzo trudno było wybrać tylko jeden z nich... No fakt, mam propozycję na zastępcę Wojewódzkiego Komendanta Straży w Sieradzu... no mam. Myślę, że awans to możliwość... Poproszę być może dla tego województwa zrobić jeszcze więcej... To dobre jest tutaj, że człowiek nie czuje się osamotniony”.

Olejnik:
„To co my tu wszyscy robimy, w Wieluniu, to my nie robimy dla Wielunia. Kto roził drzwi dla swojego miasta, u swojego regionu, to też, najważniejsze, dla kraju. Komu bęga obce jego miasto to obce bęga interesy państwa... Miasto uczestniczyło w konkursach mistrza gospodarności i zawsze zajmowało pierwszą lokatę w województwie, jeszcze w starym układzie. To samo nie przychodzi. Gdyby każdy zrobił tyle co Sliwiński dla Wielunia i odchodził z miasta można mu życzyć dalszych sukcesów, bo to naturalna droga awansu. Trzeba mieć szansę, zwłaszcza młodzi. Człowiek się kocha we wspomnieniach, a my, czterdziestolatki, wiele zrobiliśmy. Myślę tak ogólnie. Młodzież to była wtedy ogromna siła. Sliwiński jest młodszy, ale bardziej pasuje do naszego grona. Urósł przez te lata tutaj. Tak być powinno...”

Sliwiński:
— „Teresa, żona Tadeusza Olejnika, mówi do niego... To chyba śmieszne... No, mówi „Pszczółka”. Tak mówi, bo Tadeusz ma ule. Dziesięć. Po teściu. Dziesięć pni, ale parę mu spadło. Ma dwie matki kaukaskie, reszta „żółtki”. Miód wielokwiatowy... Żona mówi: Tadzik, pszczołki ty moja...”

— Tę Sliwiński, a z tego, co mówił porucznik o majorze, o pożarach, o bagnie, o naczelniku, o autorytecie, o strażakach, o decyzjach, o Wieluniu, o siedzibie nowej, o remizach — nie wynikać ma, że porucznik wszystkim wie. Ten porucznik pożarnictwa, Wójt Józef, komendant rejonowy, ta prawa ręka Sliwińskiego o sobie właściwie nie mówił wcale. No może te dwa zdania, które zapisałem „Ja mam obowiązki statutowe spełniać i uczestniczyć w akcjach ratowniczych. Wystarczy tylko raz nie dotrzymać słowa i już nie ma co z ludźmi rozmawiać”. I to by było tyle o poruczniku.

— Masz coś jeszcze?
— W notesie już nie.
— I na taśmie jest cisza...

ZBIGNIEW FIGAT
ANDRZEJ GOWARZEWSKI

III nagroda w konkursie na reportaż o Ziemi Sieradzkiej.

5



Aleksander Zelwerowicz jako Szambelan w Panu Jowialskim Fredry
Foto: Archiwum

ZAPISKI KRONIKARZA

W pełni sezonu wózek Tespisa toczy się tak chyżo, że nawet z reestracją wydarzeń trudno niekiedy nadażyć, nie mówiąc już o rzetelniejszych analizach i ocenach, zamysłłem tedy przyjąć na siebie trud kronikarza, iżby to, co się w teatrze, albo i wokół teatru dzieje, odnotować jak najspieszniej. Owe noty, co ucciwie zastrzec należy, z późniejszymi omówieniami i recenzjami mogą wprawdzie niekiedy okazać się sprzeczne, trudno wszakże oczekiwać iżbyśmy chórem krakali niby wrony, czy też jednogłośnie piali z zachwytem, zwłaszcza że wśród rozlicznych zaleceń zgłaszanych pod adresem teatralnej krytyki, to jedno — obojętnej zgodności gustów — przynajmniej ostatnio szczęśliwie wysuwane nie bywa.

Innych postulatów, a i niepokojów wprost z serca płynących, jest natomiast całe mnóstwo. Na łamach „Zycia Literackiego” dobiegła właśnie końca dyskusja pod hasłem „KRYTYCY O KRYTYCE”, której streszczając w paru zdaniach nigdy bym się naturalnie nie ośmielił, zbyt wiele padło tam głosów znaczących i ważkich. W wielu wypowiedziach powtarzał się wszakże ton pewnego fraunku, iż to, co się o teatrze pisze, nie tak znów bardzo obchodzi czytającą publiczność, która jak gdyby wycofała pełnomocnictwo udzielane ongiś recenzentom i wybiera spektakle wedle własnych, nie zawsze nawet organizatorom widowisk znanych gustów.

Sprawa jest dość złożona i radbym jeszcze kiedyś do niej powrócić, w każdym razie wina — jeżeli w ogóle o winie można tu mówić — leży przede wszystkim w nas, recenzentach, zbyt mało zapalnych może, zbyt beznamiętnie wyważających pochwały i przygany...

Andrzej Wajda, na łamach „Kultury” udzielając wywiadu Teresie Krzemieli, formułuje zresztą opinię podobną, może warto ją przytoczyć.

„Nie ma u nas w publicystyce teatralnej kogoś — mówi Wajda — kto napisze: to jest dobre, a to zle i dlaczego. W filmie rzecz jest prostsza: ja wierzę Kałuzińskiemu, chociaż on mnie nie zawsze. Większość recenzji teatralnych nie wartościuje, nie mówi jasno czy w ogóle warto iść do teatru. Jest pusty fotel po Boyu, Irzykowskim... chociaż jest wiele bardzo poważnych i głębokich rozważań o teatrze, to niestety nie ma kogo czytać”.

Po Boyu, no, tu znakomity reżyser zaliczył hazardownie, jako że Boy — uważa się tak powszechnie — genialnie, bo genialnie, ale przede wszystkim sztuki streszczał, samej teatralnej materii poświęcając stosunkowo mało uwagi. Boya-recenzenta (zdradzono mi to na ucho, więc nie powiem, kto zdradził, iżby nie zdradzić zdradzającego) oficjalna teatrologia ceni tedy raczej nisko, co nie przeszkadza, że kolejne tomy jego „Flirtu z Melpomeną” do dziś stanowią znakomitą lekturę, choćby i przed zaśnięciem.

Rozgadałem się jednak o sprawach z własnego podwórka, a było przecież kilka nowych premier, nawiasem mówiąc niezbyt fortunnie nakładających się na festiwal lalkowy, co nieuchronnie prowadziło do przykrej rozdarcia, bo tu — nieprawdazę — zapowiadało się ciekawie, a tam też mogło być interesujące.

I tak Teatr Nowy na swojej Małej Sali wystąpił w wieczorem literacko-teatralnym „Obecność” złożonym z utworów Antoniego Słonimskiego w wyborze tekstów i opracowaniu scenicznym Kazimierza Dejmka, a wkrótce potem Teatr Powszechny dał premierę długo oczekiwanego „Ryszarda III”.

Wszystkich nas — powiedzmy to otwarcie — nurtowało pytanie, jak sobie Roman Kłosowski poradzi z Ryszardem, a zarazem jak publiczność przyjmie nowe wcielenie Kłosowskiego, tak od poprzednich od-

mienne. Odpowiedź wypadła podwójnie pozytywnie, co mogę stwierdzić tym śmieiej, że oglądałem nie premierę prawną, a jeden z szeregowych spektakli. Publiczność reagowała doskonale, skupiona i zasluchana, zaś Ryszard III Kłosowskiego był wyzbyty ze skrupułów, inteligentny i groźny, nadto myślał szybko, przewidując ruchy przeciwników trochę tak, jak czyni to wytrawny szachista. Zaważał się, zlekceważył grę i partnerów gdy był już u szczytu — i wtedy zaczął się jego upadek.

Ledwie przebrzmiały oklaski po „Ryszardzie”, a już Teatr Nowy wyjechał do stolicy inaugurować molierowskim „Tartufem” XIII Warszawskie Spotkania Teatralne, zaś w auli Biblioteki UL i na scenie Teatru im. Jaracza odbyły się uroczystości w stulecie urodzin Aleksandra Zelwerowicza, znakomitego, niezapomnianego aktora, którego losy raz po raz łączyły się z łódzkim teatrem.

Już jako uczeń pod pseudonimem Werowicza debiutował w łódzkiej trupie Michała Wołowskiego, co prawda podczas jej gościnnych występów w Warszawie, w dziewięć lat później — w roku 1899 — dla tegoż łódzkiego zespołu Wołowskiego porzucił obiecując rozpoczęte studia teatrolologiczne, aby do końca życia poświęcić się już scenicznej, a później i pedagogicznej praktyce.

W Łodzi, w latach 1908—11, sprawował Zelwerowicz swoją pierwszą w życiu teatralną dyrekturę, podczas której wystawił między innymi „Wesele”, „Dziady”, „Irydion”, prapremierę „Kłatwy” Wyspiańskiego, „Szczęście Frania” Perzyńskiego i „Ryszarda III” Szekspira z młodym Jaraczem w rolach tytułowych, „Pannę Julię” Strindberga, „Trzy siostry” Cechowa, „Sen srebrny Salomei” i „Samuela Zborowskiego”. Wspaniały, jakże ambitny, choć nie zawsze w ów czas doceniany repertuar!

Następna łódzka dyrektura Zelwerowicza przypada na lata 1920—21 i choć szybko zostaje rozwiązana, owocuje „Weselem” i „Dziadami”, tymi ostatnimi w reżyserii debiutującego dopiero Aleksandra Węgielki.

A potem, już po wyzwoleniu, mieliśmy okazję podziwiać „Zelwera” jako Księdza w „Weselu”, przejmującego Zebra w „Elektrze” Giraudoux, Szambelana w „Panu Jowialskim” czy pamiętnego Damazego w „Panu Damazym” Bliźnińskiego, w której to roli obchodził jubileusz pięćdziesięciolecia pracy scenicznej.

Godziło się więc przypomnieć te serdeczne związki wielkiego aktora i pedagoga z Łodzią, czemu służyła zarówno sesja naukowa, jak i cała uroczystość przygotowane przez Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UL, Teatr im. Jaracza, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi oraz Urząd Dzielnicy Łódź-Bałuty.

Bogaty dzień zamknął spektakl „Głupiego Jakuba” Rittnera, nawiązujący jakoś do przedstawienia z 1911 roku, w którym to Aleksander Zelwerowicz objął rolę tytułową i — jak powiada jeden z ówczesnych recenzentów — „grał bardzo ładnie”.

Otóż to, sami pisząc takie rzeczy, najczęściej wiemy wcale dobrze, co właściwie mieliśmy na myśli, jednak po latach podobne grzesznościowe zwroty przestają niestety w ogóle cokolwiek znaczyć. Starannie zredagowany program teatralny zawiera sporę fragmenty recenzji z „Głupiego Jakuba”, choć jednak przestudiowałem je wcale pilnie, o odczytaniu roli przez Zelwerowicza — aktora, a sztuki przez Zelwerowicza — reżysera, niczego właściwie nie zdołałem się dowiedzieć.

Tymczasem wspomniany wyżej Boy recenzując kilkakrotnie „Głupiego Jakuba” — oczywiście najzupełniej inne i odmiennie obsadzone spektakle — potrafił wywieść nad wyraz jasno, dlaczego to z biegiem lat rola Szambelana zaczyna wyrastać nad rolę Jakuba i jak tego Szambelana traktował Frenkiel, a jak Kamiński, który widział w nim niechlujnego, trzęsącego się nad każdym grozmem, zżeranego lubieżną namiętnością starca.

Mądry tą lekturą (dowodzącą ubocznie, że Boy umiał pisać i o teatrze, jeżeli tylko było o czym pisać) mogę rzecz całkiem śmiało, że również w ostatniej premierze na scenie Teatru im. Jaracza Szambelan wysunął się na plan pierwszy, a Jerzy Przybylski potraktował go raczej ciepło, początkowo tylko budząc nie wolny od politowania uśmiech, a potem już raczej współczucie dla nieporadnych amatorów tego bardzo samotnego starzejącego się mężczyzny. Małgorzata Skoczylas rolę Hani — że odbije piłeczkę przeznaczoną przed laty dla Zelwerowicza — grała bardzo ładnie.

A o resztę niech się już martwią koleżdy recenzenci. Fotel po Boyu czeka!

JERZY PANASEWICZ

PSTRĄG PANA SCHUBERTA

W myśleniu kompozytora XX wieku nie znajdziemy już dzisiaj śladu po tamtym sposobie kształtowania materiału dźwiękowego, chociaż pozwał on osiągać całkiem solidne wyniki. Ostateczne przesunięcie fortepianu z roli głównego podpowiadacza na pośrednie stanowisko przyrzędu pomocniczego służącego najwyżej sprawdzaniu co bardziej skomplikowanych wyobrażeń dźwiękowych odbyło się siłą rozwoju sztuki i nic na to poia dzić nie było można. Owszem, wyśiaduje się jeszcze godzinami przy klawiaturze, ale z innymi niż niegdyś konsekwencjami twórczymi. Najdziwniejsze, że odsunięcie a nawet całkowita rezygnacja z tego pośrednika gwarantuje od dawna już zresztą większą liczbę doznań twórczych — temu zaś kompozytorowi, który się na to pierwszy raz w życiu poważył w wyjątkowej obfitości. Daje ścieście królewskie poczucie władzy nad całością formy i materii muzycznej, przynosi swobodę ornamentowania, mieszania barw, łączenia lub dzielenia divisi, pozwala łatwo rozporządzać najbardziej skomplikowanymi składami przy najswoobodniejszym rozwiązywaniu tej trudnej głosowej krzyżówki, jaka „od kuchni” jest partytura i to w najbardziej wirtuozowski sposób. Najchętniej zwiewną szatę „uzupełnień” rozpina się na wszelkiego rodzaju ostinatach; najchętniej, bo i najwygodniej — choćby ravelowskie węzowe Bolero, czy wykonana ostatnio daleko bardziej zmysłowa harmonicznie Rapsodia hiszpańska. Jej część I cała utkana ra ostinatomym temacie, rozdzielona dwiema kadencjami wywołala nastój zadumy i wzruszającej refleksji. Pod koniec tańca z Malageny ostinato wwraca. Klimat bardzo nostalgicznej habanery świetnie utrzymany. Część IV — FERIA, jest bardzo trudna i już samo jej precyzyjne wykonanie to sukces. Nadto niemal wszystko, co na estradzie zostało zgromadzone gra a po fff, proporcje zatem należało nadzwyczaj starannie wyważyć. Bardzo trudny utwór. Właściwie trzeba by samemu przygotować i poprowadzić to arcydzieło, aby w sensie szczegółowej oceny mieć cokolwiek do powiedzenia. Dla mnie samego wszystko, co w Rapsodii jest ważne, być bardzo przyjemnie widoczne. Niejasna jest tylko sprawa harf. To prawda, że w dużej części jedna może sobie z grubsza radzić z przemienną resli-

zacja to jednej, to drugiej partii, bo zostało tak pomyślane, że gdy jedna kończy, zaczyna druga — mowa o większości miejsc, ale... Ale zostało tak pomyślane, bo Ravel jest mistrzem dialogu i po to były mu potrzebne obie partie, aby ten dialog zachodził między dwoma instrumentami swobodnie. Nie mamy dwóch harf, czy dwóch harfistek?

Posłuchawszy sobie zatem pierwszego utworu orkiestrowego Ravela skomponowanego bez podpierania się fortepianem, nasyciwszy się rzepyszonymi barwami i wirtuozerią orkiestry, trochę zadziwieni stajemy obok etud symfonicznych Malawskiego. Niestosownie chyba kojarzące się z op. 13 Schumanna, dla którego fortepian jest w tym dziele wszystkim, a różnicowanie etud głębiej idące, sześć etud Malawskiego, gatunkowo i koncepcyjnie — bardziej to przecież etudy na orkiestrę z fortepianem — należą do innego świata i nie z Schumannem wspólnego nie mają. Z samego charakteru dzieła, z jego prężności i motoryki, ogromną część partii fortepianu topi się w orkiestrze przechodząc w barwę. Tego trudnego i mało wdzięcznego dla koncertującego pianisty zadania podjęła się Regina Smendzianka ze znakomitym wynikiem. Dodam, że artystka ta ma za sobą płytowe nagrania tych etud.

Muzycznym przewodnikiem po obu trudnych dziełach był Krzysztof Missona.

A „Pstrąg Pana Schuberta” — skoro tym razem więcej o kompozytorach i kompozycjach mowa — to... tytuł jednej z pieśni Bauera wykonanej na Festiwalu Współczesnej Twórczości Muzycznej dla Dzieci i Młodzieży. Tak naprawdę, to w większości „przypadków” dopiero po trudach, doświadczeniach orkiestrowych i instrumentalnych typu... opisały Rapsodii hiszpańskiej, można najszybciej i jednocześnie najładniej złożyć kilka prostych nut dla dziecka fundując sobie przy tym najcieplejszy chyba rodzaj satysfakcji. Z kompozytorów łódzkich udział wzięli: A. Hundziak, T. Kiesewetter, B.K. Przybylski. Podobną organizatorzy moją wątpliwości. Tymczasem trzeba złapać imprezę i nie wypuścić z Łodzi. Może zrobić się z tego całkiem europejska impreza.

PIOTR PIETRZAK



Foto: J. Mendychowski

IRENEUSZ DOMIENIK

IMITACJA

Miałas czekać na mnie w izbie przyjęć; tak umówiliśmy się przez telefon, który rozdzwonił się koło mojego łóżka o ósmej rano. Mam bardzo wrażliwy słuch. Półprzytomny wygrzebałem się z pościeli. W pokoju, mimo słońca za oknem, było chłodno i nieprzytulnie. Zaczęła śwędzić mnie głowa. Przytrzymałem ramieniem słuchawkę i w płaszczu, który wczoraj niedbale rzuciłem na krzesło, udało mi się namacać podłużny kształt rogowego grzebienia.

Mówiła powoli, z dziecięcym namaszczeniem: zgadzała się, natychmiast, bez podejrzeń. Muszę przycesać włosy — przeprosiłem — jedną chwile, Sylwio.

Potem rozmawialiśmy jeszcze o domkach pana Hoppe i o moim przyjacielu Filipie, którego — jak twierdzisz — zmuszam, by był moim przyjacielem; a ja tylko starałem się obliczyć w pamięci, ile czasu potrzebuje na dojazd i martwiłem się, czy aby ten czas, który mi jeszcze pozostał, wprowadzi mnie w monotony, blisko stumetrowy korytarz i, nade mną — w zbieżnej perspektywie — w dwa równoległe szeregi żarzenio- wych lamp. Powietrze, gorące i mdłe, czuć było lizolem i bandażami. Pchnąłem masywne drzwi w końcu korytarza; siedziała, licząc od wejścia, w ostatnim z sześciu pluszowych foteli, wstawionych tu na wyłączny użytek właścicieli zwierząt. Była już bez kitła i bez czepka pielęgniarzki na głowie, prawą ręką gładziła płaszcz, który zwyczajem pod- różnych położyła na swoich kolanach. Nie widziała mnie: uśmiechała się lekko, zapatrzona w mozaikę porce- lanowych płytek i pewny jestem, że gdyby ściana nie była wyłożona płyt- kami, ale, na przykład, pomalowana gładko farbą, to wpatrywałabyś się w ten sam punkt, Sylwio.

Gdy pojawiłem się w drzwiach, wstała i ubrała się pośpiesznie. Wy- szliśmy na ulicę. Teraz, przy świetle dziennym, obejrząc mogłem jej twarz, po szesnastogodzinnym dyżurze nie- przyjemnie biała, z plecionką różo- wych żyłek pod oczami, na skórze wiotkiej i drgającej jak powieka sta- ruszki. Oczywiście przyjdę, Sylwio — mówię i z ulgą ciskam grzebień w kąć pokoju. Nie ponaglała mnie, wol- na była dopiero od jedenastej w po- łudnie; mogłem więc na dobrą godzi- nę wskoczyć z powrotem do łóżka, trochę się zagrzać i otulić głowę po- duszką, żeby stłumić w uszach ten dźwięk głosu, aż nazbyt czysty i po- zbawiony właściwej mu barwy, jak gdyby mizerne sítěczko telefonicznej słuchawki mogło z twojego głosu u- czynić idealny, prawie nierzeczywisty model głosu kobiety. I wyobraziłem sobie taki wzorec kobiecych narzą- dów mowy, może w Sévres pod Pa- ryzem dobywający z siebie ten głos — wzorec o podniebieniu, wargach i ję- zyku z doskonale czerwonego ciała, biel jej zębów i pajęczą czułość nie- zmordowanych wiązadeł; a wszystko to, w temperaturze krzepnięcia piąt- ny, ze sztucznych ust znających wszystkie języki świata.

— Praca postarza ci o jakies pięć lat — powiedziałem współczująco.

— Tak, przynajmniej o pięć — od- powiedziała.

Mijaliśmy szary budynek szpitalny i nieskończenie długi mur sąsiadują- czej z nim fabryki spirytusu, na któ- rym, prócz druczyników zasieków, le- żały kawałki tłuczonego szkła. Zza muru dolatywał chórny brzęk bute- lek. Nieco dalej, przed oszkloną jak wystawa kwaciarni portiernią, spacerował strażnik przemysłowy w czarnym mundurze, z kaburą pisto- letu przypiętą do pasa.

Musieliśmy postawić koinierz, bo z północnej części miasta powiał silny wiatr i poczułem dreszcze. Czarne dreszcze, spacerujące od pięt, gdzie rozdziły się pod podszewkami moich butów, w kierunku karku i głowy, skąd — wykorzystując stróżniczą czo- ła — w postaci czarnowirujących platków spływały mi przed oczy i le- ciały coraz niżej, wprost na wyrwa- ny z książeczki pana Hoppe plan na- szego domu, który trzymałem w ręk- ach.

... dom był murowany, z czterospa- dowym dachem krytym dachówką. Wewnątrz mieściło się pięć izb: czte- ry na parterze i jedna — gabinet — na niskim piętrze. Do głównego wej- ścia prowadziły szerokie, sześciostop- niowe schody.

Chwyciła mnie za rękaw i pociągnę- ła ku sobie. Powiedziała, że zaws- ze, koniecznie zawsze powinienem nosić ten płaszcz, w którym wydaję się jej tak silny, tak duży.

A było przecież także wejście ku- chenne z tyłu domu i paradne wej- ście przez odkryty taras, wspólny dla dwóch największych pokoi. Na tarasie tym siadaliśmy o zmierzchu w wklonowych fotelach, przy każdym poruszeniu trzeszczących niemilosier- nie, i czekaliśmy na Niego, aż poja- wił się wreszcie, i czym szurająca buciurami zjawia, to wspinając się do nas po schodkach z mrocznego ogro-

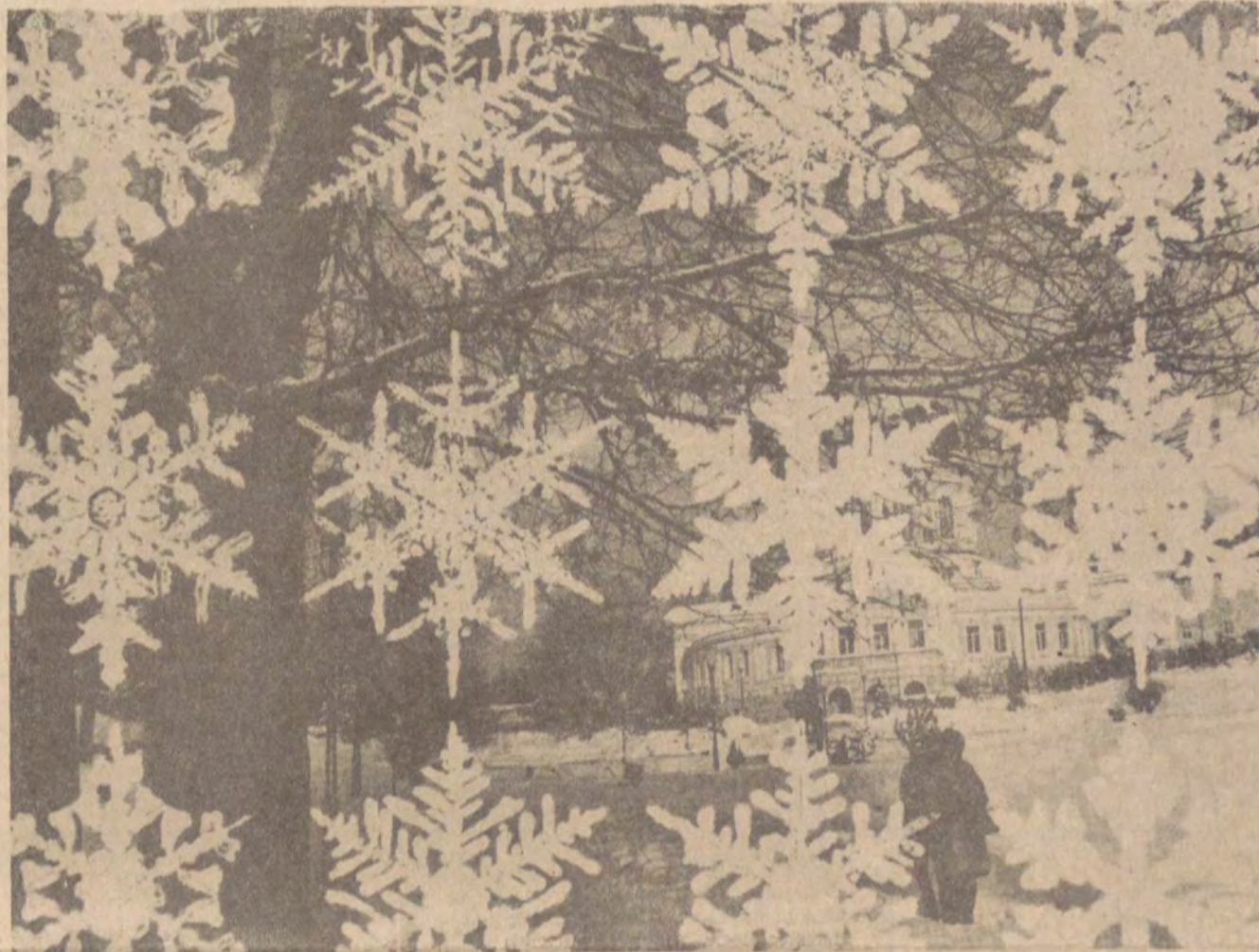


Foto: W. Parys

du, to zamierzając bez ruchu w uchyl- onych drzwiach. Był zawsze utyła- ny kamiennym pyłem, kasłał głucho i nigdy nie cesał skoltunionej brody.

W każdym pokoju był piec z kosz- towych, berlińskich kafli; w sypial- nym pieciogłogowy, w pozostałych na planie kwadratu; jedynie kuchnia miała piec wspólny z wąskim kory- tarzkiem w kształcie litery „L”, prowadzącym na lewo w stronę ha- lu, na prawo zaś do kuchennego wej- ścia, gdzie znajdowały się też drzwi do łazienki.

Szerokie, trójdzielne okna dawały wystarczającą ilość światła, a dzie- ła je dodatkowo na szereg prostokąt- ów szczeblinki nie były pozbawio- ne swego uroku.

Mówiłem do niej, że go pozna, że Filip jest bardzo serdeczny i miły, żeby nie zwiodła jej ta jego pozorne antypatyczna powierzchowność, bo myśl jakaś kryje się za tym pomar- szczonym czołem i szczęką boksera, która drży tak zabawnie, kiedy on płacze.

— Jeśli życysz sobie tego, spróbu- je go pokochać — powiedziała.

Przysiadłem właśnie na rogu łóż- ka, gdy weszła do naszego pokoju, cicho szurając pantoflami, i zbliżyła się do mnie z wolna — trochę jakby zakłopotana — prawie że ciągnąc za sobą te znoszone pantofle, które do- stała od matki w dniu dziewiętna- stych urodzin — ostatnich jakie mia- ła obchodzić w domu rodziców. Sta- ło się już zwyczajem, że regularnie o siódmej, na trzy godziny przed po- łożeniem się spać zakładała miękkie pantofle, gdy poza tym przez okrągły dzień nosiła niewygodne, wysokie i sznurowane buty.

Kątem oka, nawet nie odrywając wzroku od książki trzymanej na ko- lanach, zauważyłem, że na dwa kroki przede mną zatrzymuje się nagle i że ścisła coś w kureczowo zamknię- tej dłoni.

Przed dom zajeżdżał samochód. Z naszego okna, jeśli przytknąć czoło do szyby, zobaczyć można wycinek obsa- dzonej topolami alei, która biegnie wzdłuż małego ogródka na parterze. Fragment ten oświetlony jest wyso- ką latarnią, która sterczy wśród drewnianych baraków po przeciwnej

stronie i swoim kształtem przypomina wbitą w ziemię bambusową łaskę.

Nie wiem, czy przytuleni do siebie uszliśmy dwadzieścia metrów, kiedy z tyłu, za naszymi plecami, rozległ się donośny śmiech. Obejrzałem się za siebie: strażnik w czarnym mun- durze zanosił się od śmiechu, rachotał, rżał prawie... — wskazał na nas palcem i w tej pozycji zamarł.

Sylwia skoczyła w bok, niczym przylapana na gorącym uczynku, nerwowym ruchem szarpnęła zamek swojej torebki, wyjęła z niej lusterko i przejrzała się w nim z uwagą.

Nikt więcej nie pojawił się na pu- stej ulicy.

Wziąłem połówkę jajka z jej rąk. Było ciepłe, miało temperaturę ludz- kiego ciała.

Sylwia skinęła głową i podsunęła mi połówkę rozkojonego jajka w skorupce. W samym środku, otoczony delikatną obwódką, złożył się cudow- ny krawiec żółtka, a białko, poza błę- kitną poświatą, było bielsze niż śnieg.

— Tak, bielsze niż śnieg — powtó- rzyłem — to było bardzo świeże jaj- ko.

Nie bacząc, że zaśnieca dywan, wytuskała jajko ze skorupki.

— Zjedz — powiedziała.

Podjechał następny samochód, jesz- cze następny samochód... Przeszali- my liczyć. Zastygła w rozmamianym szlafroku, z beładnie wyciągniętą w powietrze ręką. Drżała z zimna. Nie protestowała, kiedy przysunąłem ją bliżej pieca: był gorący, pięciogło- wy, biały.

Chyba miała rację, mówiąc, że to także mężczyzna. Ale mężczyźni zniszczyli prawo, takie prawo, które jako argument ostateczny trzyma ciągle w zanadrzu magiczne słowo: atawizm — ten crux interpretum, nę- cący mnie i odpychający zarazem.

Nie będziesz więc nosić ciepłego fu- terka, Sylwio, a on zmiesza się, jak ślimak skurczy się na widok twoich obnażonych piersi. Mało tego: przestanie się śmiać i jeśli zgłupieje na tyle, że nie przyjdzie mu na myśl tak zbawienny okrzyk: wariatka! to umknie nam już nie jak ślimak, ale jak szczur do swojej portierni i be-

dzie tam gapił się, czy aby kiesze- nie wchodzących i wychodzących ro- botników nie pełnią od skradzio- nych butelek, i będzie zły bardziej niż zwykle, że Technika jest jeszcze bezwładna i tak mało przewidująca, skoro nie stosuje za każdym razem plukania żołądka, baloników i bar- dziej wszechstronnej analizy.

— Przyniosłam pół jajka dla cie- bie, Michał — powiedziała szeptem.

Nie byłem głodny. Udałem, że w zupełności pochłonęła mnie lektura. Zaczęłem rozumieć ten rodzaj niedo- puszczalnej komunii, który mi propo- nowała. Postanowiłem w duchu, że przedko, jak najprędzej musimy wy- jechać na tę przekłętą prowincję, bez względu na to, czy zaudzimy się tam na śmierć, czy też nie. Było mi prawie wszystko jedno i ogarnęła mnie bolesna zazdrość o Filipa. Tak — pomyślałem — jego trzyma tam bliskość kamieniołomów. A ja? Co ja będę tam robił? Mimowolnie przeczyta- łem parę zdań z książeczki pana Hoppe. Autor przeprowadzał na wstę- pie więcej niż ryzykowne porówna- nia, ganil i zachwalał:

Zawsze twierdziłem, że taki domek tonący w zieleni krzewów, otoczony kwieciami i kąpiący się w promie- niach słońca, stanie się dla inteli- genta, pragnącego pod każdym wzglę- dem odpoczynku po trudach codzien- nych, tym symbolicznym „cichym domkiem” — czyli innymi słowy, je- śli nie wszystkim, to przynajmniej częścią tego, co mu się słusnie od- życia należy.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. Nie potrzebowałem zbliżać się do ok- na, żeby wyraźnie widzieć odświeżone parę sunące zgodnie w poprzek alei, żeby przez papier czuć zapach czer- wonych i białych goździków, walczą- cy o lepsze z obłokiem perfum i ko- łońskiej wody.

„Nasz przyjaciel Michał się żeni”

Zamknąłem książkę.

— A ty pewnie w dalszym ciągu kochasz zwierzęta, Sylwio?

Nie odpowiedział. Jej nienawistny wzrok utkwiłony był w maleńką foto- grafie Marii, obok której postawiłem plastikowego misia.

— Twój uśmiech nęci mnie, jak nęciłby mnie kwiat, fotografio, jesteś zmrzałym grzybem bezlistnego bo- ru, jesteś...
„Nasz przyjaciel Michał się żeni”

II

Do pokoju, wpuszczając przed so- bą pięcioletnie dziecko, wchodzi wy- soki, chudy mężczyzna.

Zyrandol zawieszony pod sufitem nie pali się teraz; tylko mała lamp- ka, stojąca na szafce tuż koło okna, swoim ciepłym pomarańczowym światłem wylwia z cienia kraclasty sweter wchodzącego, zarys jego bro- dy sięgającej aż do piersi, i, opodal, zmierzwiłone, jasne włosy dziecka, które szybko biegnie do przodu, w kierunku lampy. Gdy drzwi zamyka- ją się, w pokoju robi się jakby wid- niej — w hallu, skąd weszli, pano- wać musiał gęsty mrok. Pod ścianą, w prawym rogu, dostrzec już można lekko zamazany kształt kancelaryj- nego biurka, stary, ciemny obraz i półkę z książkami, której długość wydaje się być równa długości blatu biurka.

Trzeba jednak sporego wysiłku, że- by ściśle trzymać się proporcji, zależ- ności, wzajemnych stosunków. Jesz- cze gorzej jest, jeśli chodzi o kon- kretne wymiary podane w liczbach. I tak, dwa okna pokoju, znajdujące się w ścianie zorientowanej na wschód, zaczynają się, licząc od po- ziomu podłogi, na wysokości 0,8 me- tra (to znaczy, że w tym miejscu jest pomalowany orzechową farbą para- pet), a dzieli je wąski pas muru o wymiarach 3,2 metra na 1 metr. Ok- na te są prostokątne i, z zewnątrz, o ich szyby niemal opierają się ga- łązki rachitycznego kasztanowca, któ- ry rośnie w miniaturowym ogródku na dole; gałęzie tego drzewa są zawsze czarne, bez owoców i liści.

W pokoju nie ma dziecięcego łó- żeczka, jest tylko wąski tapczan, po- kryty zieloną tapicerką; mężczyzna otwiera go i z jego wnętrza wyjmuje pościel, która przy pomarańczowym świetle lampki zyskuje odcień kre- mowego koloru; prawdopodobnie przy innym oświetleniu — zwłaszcza dziennym — byłaby biała. Sniade re- ce mężczyzny starannie rozkładają płachtę prześcieradła, ruchami przy- pominającymi mieszanie ciasta spul- chniają pierze, nadają właściwą for- mę poduszkom. W tym czasie dzie- wczynka pręgiem się kolorowej lam- pie. Nie jest wykluczone, że jej uwa- gę przykuła barwa światła, być mo- że zaskakująca i niecodzienna.

Bliisko trzy minuty panuje głębo- ka, prawie idealna cisza. Choć z ha- lu drzwi prowadzą do trzech jeszcze pokoi, również stamtąd nie dochodzą żadne dźwięki. Pozostali mieszkań- cy, jeżeli są, śpią już zapewne.

Mężczyzna najpierw rozbiiera dziec- ko, później układa je do snu na tap- czanie i sam delikatnie kładzie się obok, nie zdejmując ubrania. Mówi: — Teraz będziemy spać, Mario.

III

Po jednej stronie drogi rósł gesty, liściasty las, po drugiej szereg bliź- niaczych zagród gospodarskich z nie- wielkimi działkami od frontu, gdzie widać było skurczone, zwarzone od noenych przymrozków kwiaty i bez- listne już badyle zielonego groszku. Sylwia, omijając katuże i rozwleczoną przez bydlę glinę, szybkim kro- kiem dotarła do skrzyżowania. Wszy- stko zgadzało się z zapamiętanym przez nią opisem: na samym rogu drewniany kościółek i żelazne ruszto- wanie z daszkiem, pod którym wiszą dwa nieruchome dzwony z roślinny- mi ornamentami na dolnych krawe- dźkach czaszy, dalej plebania, za ple- banią drzewa niskopiennego sadu i cmentarz. Przed kościółkiem należa- ło skręcić w lewo przejechać przez sad, później znów skręcić w lewo.

Siąpił deszcz, ale pogoda była bez- wietrzna. Sylwia zastanawiała się, czy jej czerwoną parasolkę nie wy- gląda tu pretensjonalnie i głupio. Lecz wieś była jakby wyludniona. Tylko gdzieś z daleka dobiegał tur- kot niewidocznej furmanki i piskli- we skrzypienie studni — tak, jak właśnie być powinno.

Powoli zmierzchało. Filip podszedł do okna. Drobne kropki rozbiły się bezgłośnie o szyby i po szczeblin- kach wąskimi strużkami spływały na zewnętrzny parapet. W centrum tra- wiaściego dziedzińca nadgrzyzone blo- ki marmuru polyskiwały jak oblane szlachetną oliwą torsy.

— Ona tu idzie, Mario... — szep- nął.

Dziewczynka wypuściła z rąk pospane białym proszkiem diuto.

— Ale ty nie będziesz klęczał, prawda, tatusiu?

Wydało mi się, że mężczyzna po- wstrzymał oddech. Ale nie — po- myślałem — identyfikacja nastąpi później. Taki jest ich obowiązek. Zbyt mocno wyzerpał nas troje wczorajszy spacer.

(fragment większej całości)

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

DLACZEGO ŻEROMSKI NIE OTRZYMAŁ NAGRODY NOBLA

Dwa straszliwe ciosy doświadczył Stefan Żeromski w ostatnim okresie jego życia: nieotrzymanie literackiej Nagrody Nobla w roku 1924 oraz tragiczne samobójstwo księgarza-wydawcy, Jakuba Mortkowicza, który wydawał w prężnym kompletnym wydaniu dzieł Żeromskiego w oparciu i w nakładzie 50.000 egzemplarzy, (za które Żeromski otrzymał miał honorarium w kwocie około 1,5 miliona złotych). Honorarium tego nie otrzymał Żeromski ani jego rodzina nawet w znikomej części po samobójczej śmierci Mortkowicza. Pisarz musiał zadowolić się bardzo skromną sadybą, jaką w Konstancinie kupił dla niego Jakub Mortkowicz, a dokąd Żeromski w 1. 1922—1925 dojeżdżał letnią porą warszawską eluchcia-samowarkiem przez Wilanów, Jeziorne aż do Konstancina. Ciuchcia ta, już dziś nie istniejąca, była wówczas jedynym środkiem lokomocji dla warszawiaków wyjeżdżających na letniska lub posiadających w pobliżu Warszawy swoje domy. Ofiarowana Żeromskiemu przez Mortkowicza nieruchomości przedstawiała się na ogół skromniejszą niż należało przypuszczać, bo najbliżsi sąsiedzi wiedzieli dobrze, że wymaga naprawienia licznych usterek i remontu; widzieli jak autor „Popiołów” sam naprawiał i uzupełniał co się dało, występując to w roli malarza, to stolarza, cieśli i ogrodnika. Tak więc sadyba w Konstancinie nadawała się tylko na letni pobyt pisarza z rodziną w tej miejscowości, a materialna wartość nieruchomości była tak mała, że nie wchodziła w rachubę jako rekompensata za dzieła zbiorowe Żeromskiego wydawane przez Mortkowicza, których wartość brutto wynosiła na owe czasy wartość sumy: 10.000.000 złotych! Od tej sumy brutto należało się Żeromskiemu minimum 10—15 proc., a więc 1.000.000—1.500.000 złotych, a w przeliczeniu na ówczesny kurs dolara 100.000 do 150.000 dolarów jako ogólne honorarium. Wątpliwie należało czy z tej sumy otrzymał Żeromski chociaż część (aż do zgonu Jakuba Mortkowicza był wielki pisarz na utrzymaniu tego księgarza), a zajmując

państwowe mieszkanie na Zamku, podobnie jak Przybyszewski i Kazimierz Przerwa-Tetmajer, nigdy nie miał pieniędzy na nabycie odpowiedniego mieszkania w Warszawie. Tak więc olbrzymia suma, którą Żeromski miał otrzymać tytułem honorarium za swe dzieła w wydaniu zbiorowym pod hasłem wydawcy: „Żeromski dla całej Polski”, przepadła mu na zawsze, a trzeba tu nadmienić, że była ona wyższa od Nagrody Nobla w roku 1924.

A co czynił Żeromski, żeby otrzymać Nagrodę Nobla, dowiadujemy się z ciekawych wyznań Jana Lorentowicza w jego pamiętniku zatytułowanym „Spojrzenie wstecz”. Dowiadujemy się tam, że Żeromski zaraz po I wojnie światowej usilnie starał się o to, aby jego dzieła były tłumaczone na języki obce i wydawane również w Szwecji. I w rzeczy samej już od roku 1921, dzięki wstawiennictwu i poparciu sekretarza ambasady polskiej w Sztokholmie, Konrada Czarnockiego i jego małżonki, zaczęły się ukazywać poszczególne dzieła Żeromskiego w przekładzie na język szwedzki, dokonane przez panie Wester. Wydawcy szwedzcy nie lubia płacić wiele za nabycie prawa autorskiego na ich języki i za „Urodę życia” oraz „Popioły” otrzymał nasz pisarz po 300 koron szwedzkich. A więc suma znikoma, ale w każdym razie kilkoma pozycjami wszedł Żeromski na rynek szwedzki, zdobywając i tam czytelników, a nawet entuzjastów wśród uczonych szwedzkich, jakimi byli: Jensen Böök i inni. Droga pośrednia, głównie dzięki Czarnockiemu i Michałowskiemu, zdobywał Żeromski czytelników wśród Szwedów i do końca roku 1924, gdy razem z Reymontem kandydował do literackiej Nagrody Nobla, pozycja jego była silna i tak zakorzeniła się w rodzinie wielkiego pisarza, że ta bardzo na nią liczyła.

„Wiatr od morza” ostabił bardzo pozycję Żeromskiego jako kandydata do nagrody. Böök i inni zarzucali mu germanofobię, a trzeba wiedzieć, że Szwedzi zawsze mieli wielki sentyment do narodu niemieckiego i choć w polemice między samymi Szweda-

mi o treść „Wiatru od morza” wyszedł Żeromski zwycięsko, to jednak ta powieść zmniejszyła nieco wielką popularność Żeromskiego, jaka cieszył się przez pewien okres czasu. Akademia Sztokholmska i skład jej jury miały początkowo bardzo sprawiedliwe i honorowe dla obu polskich kandydatów wyjście z tej zawilej sytuacji: podzielić Nagrodę Literacką Nobla za rok 1924 między Reymonta i Żeromskiego. I takie byłoby najsprawiedliwsze wyjście, bo w grę zaczęły wchodzić różne czynniki polityczne w polskich sferach rządzących, jedno, popierające ze wszech miar Reymonta, a drugie zwalczające Żeromskiego, tak, że kampania przeciw Żeromskiemu, a na korzyść Reymonta, jaka odbywała się w Polsce, doszła do wiadomości i tych czynników w Sztokholmie, które decydowały o wyborze kandydata do nagrody.

Pierwsze dni stycznia 1924 roku. Jestem w bramie domu firmy Gebethnera i Wolffa i spieszę na piąte piętro do doktora Stanisława Lama, ale na dole, na ostatnich już schodkach nadziewam się na Reymonta, który trzymając się poręczy schodów przystanął i ciężko sapie. Poznał mnie od razu, zatrzymał i wszedł ze mną rozmowę. Ogromnie uradowany, bo upłynęło pięć lat, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni na Krakowskim Przedmieściu 15. Żalił się, że ciężko znosi zimę, że męczy go rzedza płuc, i że lekarze na gwałt wysyłała go na południe Europy. Gdy mu oświadczyłem, że spieszę do doktora Lama, odpowiedział mi, że właśnie od niego wraca. Ucieszył się, że prowadzimy z Hulewiczem firmę wydawniczą i obiecał odwiedzić nas kiedyś, gdy wiosną wróci z Włoch. Od tego czasu nigdy już Reymonta nie widziałem i z początkiem wiosny 1924 roku wyjechałem do Lipska na „Wiosenne Targi”, tzw. „Ostermesse”. Spacerując po mieście spojrzałem na witrynie księgarni i stanąłem jak wrzuty: na wystawie książka Reymonta w dwóch tomach w niemieckim języku „Die polnischen Bauern” — „Chłopi”. Wszedłem do księgarni, kupiłem dzieło, schowałem do torczki i wyszedłem, uradowany, że będę miał

ciekawą lekturę w hotelowym łóżku. Przeglądając „Chłopów” po niemiecku zastanawiałem się nad nazwiskiem tłumacza, Carla Hauptmanna. Nazwisko to nic mi nie mówiło, ale ja chciałem koniecznie dowiedzieć się kto zacytował tłumacza i nazajutrz rano wstąpiłem do jakiejś księgarni niemieckiej i poprosiłem o encyklopedię. Z niej dowiedziałem się, że tłumacz jest rodzonym bratem Gerharta Hauptmanna, laureata literackiej Nagrody Nobla. Obaj bracia mają już poważny dorobek literacki a Carl, zamieszkały w Szklarskiej Porębie, (gdzie po II wojnie zamieniono jego sadybę na dom pracy twórczej Związku Literatów Polskich), wydawał pismo „Monistische Zeitschrift”; parę numerów znalazłem po wojnie na strychu jego domu. Później dowiedziałem się, że Carl Hauptmann miał Polkę przyjaciółkę, która była malarka i oboje razem przełożyli „Chłopów” Reymonta na język niemiecki.

Gdy po miesiącu wróciłem z Niemiec i wstąpiłem znów do Lama na ulicę Zgoda 12, Lam, mój stary znajomy z czasów lwowskich, rzekł do mnie w największym zaufaniu: Mam pewne wiadomości ze Sztokholmu, że Nagrodę Nobla na rok 1924 otrzyma Reymont, a Żeromski przypadnie z kretemsem. Ale to tylko do pańskiej wiadomości. A tymczasem do Biblioteki Laureatów Nobla zamówiłem już u Reymonta nowy tom jego pod tytułem „Pekniety dzwon” i wypłać Reymontowi na poczet tego tomu 5.000 franków szwajcarskich, gdy wyjeżdżał na południe. I to również niech pan zachowa w tajemnicy.

Żeromskiego popierała Polska Akademia Literatury, Reymonta witosławy i narodowa demokracja, ale właściwym rzecznikiem Reymonta, który najwięcej chyba przyczynił się do tego, że Reymontowi przysadzono Nagrodę Nobla, był nasz ambasador, Alfred Wysocki. W roku 1924, gdy Michałowski i Czarnocki opuścili już placówkę w ambasadzie polskiej w Sztokholmie, a miejsce ich zajął poseł i ambasador, Alfred Wysocki, szanse Żeromskiego na uzyskanie literackiej Nagrody Nobla znacznie zmalały. Żeromski nie miał już na terenie Sztokholmu żadnego wpływowego oredownika swej sprawy i bardzo szybko trafił swa wysoka pozycja literacka, jaka zaczął zdobywać u Szwedów od roku 1921. Z niesłychaną energią zaczął na rzecz Reymonta pracować wśród Szwedów poseł, Alfred Wysocki, wybitnie popierany przez czynników rządzących podówczas w Polsce. Posłuchajmy, jak akcje na rzecz Reymonta prowadził Alfred Wysocki i kto właściwie spowodował klęskę Żeromskiego.

„Na miesiąc przed wyborem laureata nie było jeszcze wiadomo, kto nim będzie. Prof. Schück zachorował na ciężką gripę i podobno w ostatnich dniach oceny dzieł udziału nie brał. Był to bardzo pomyślny zbieg okoli-

czności, bo prof. Schück odnosił się życzliwie do Tomasza Hardy, którego całokształt twórczości był mu dobrze znany. Zdanie zwolenników Reymonta mogło więc opinie przeważyć, tym bardziej, że należał do nich arcybiskup Söderblom. Böök telegrafował wprawdzie do mnie do Paryża 3 listopada: Nie ma jeszcze decyzji. — ale dodawał: Ale jest wiele nadziei. Prześlijcie fotografie Reymonta pod moim adresem. To znaczy, że przygotowywał już o nowym laureacie Nobla artykuł i tym laureatem miał być, Reymont.

Wreszcie nadszedł dzień 13 listopada, który mnie zastał z powrotem w Sztokholmie, gdzie dowiedziałem się przez telefon sekretariatu Komitetu Nobla o naszym zwycięstwie. Wysłałem natychmiast telegram do Reymonta, zapytując czy nie mógłby przyjechać na uroczyste wręczenia przez króla nagrody; w nocy zbudziła mnie jego odpowiedź: Dziękuję z całego serca. List wysyłam. Przyjazd niemożliwy z powodu złego stanu zdrowia.

Nazajutrz byłem naprawdę wzruszony postawą prasy i społeczeństwa szwedzkiego. Od rana odbierałem bez przerwy telefony gratulacyjne i wizyty, a prasa wychylała pod niebiosa Reymonta i Polskę. Górował naturalnie nad wszystkimi głos prof. Bööka w „Svenska Dagbladet”. Twierdził on, że Reymont wniósł się wyżej w opisie życia chłopskiego niż Zola w „La terre”. Powieść jego wzrasta bez żadnej sztuczności do rozmiarów epopei.

Akademia Umiejętności w Krakowie zgłosiła Reymonta jeszcze w roku 1919 do Nagrody Nobla. Ta sama instytucja postawiła po raz pierwszy w roku 1921 kandydaturę Żeromskiego. Kandydatura ta (popierana gorliwie przez Polskę w następnych latach) miała jednak w Akademii Szwedzkiej bardzo wielu zwolenników. Bynajmniej nie z politycznych powodów. Żeromski jako wybitnie nacjonalistyczny pisarz nie wydawał się być jednak odpowiednim kandydatem do Nagrody Nobla, nie odpowiadał też, krótko mówiąc, jej faktycznym wymaganiom. Natomiast Reymont był od razu przez naszego eksperta języków słowiańskich polecony, a w roku 1920 postawił jego kandydaturę Per Hallstrom, członek Komisji Nobla, zaś w roku 1924 gdy przyznano Reymontowi Nagrodę Nobla byłem jej wnioskodawcą, jako członek Komisji. Nie znam naturalnie przebiegu Pańskiej rozmów z prof. Böök'em, przypominam sobie jednak, że popierał on gorliwie wybór Reymonta. Z poważaniem dr Andres Osterlin, Sekretarz Akademii Szwedzkiej i prezydent Komisji Nobla”.

Jak widzieliśmy z powyższego Reymont od samego początku był w opinii Szwedów bardziej zdecydowanym kandydatem do literackiej Nagrody Nobla aniżeli Żeromski. I nagrodę tę za „Chłopów” otrzymał.

WACŁAW PAWLAK

W KAWIARNI ROSZKOWSKIEGO

Jesienny wieczór mżył deszczem, przepędzając rzadkich przechodniów z mrocznych ulic. W kawiarni Roszkowskiego było jednak tłoczno i gwaro. Krzyżowały się powitania, wymieniane w różnych językach, rozwijał się flirt. I ten nieco głośniejszy przy stolikach, które obsiadły panie i panowie, i ten cichy, ale nie mniej wymowny, oparty na rzucanych sobie nawzajem powłóczystych spojrzeńkach.

W narożniku sali pod zegarem zebrało się grono mężczyzn w różnym wieku. Rozmawiano o teatrze.

— Słyszeliście panowie o zatargu, jaki wynikł pomiędzy Książkiem a Towarzystwem Teatralnym? — rzucił pytanie sekretarz redakcji „Rozwoju” Władysław Ratyński.

— Obito mi się coś u uszy, ale nie bardzo wiem o co im poszło — odezwał się adwokat Włodzimierz Wyganowski.

— Książek zawarł umowę z dyrektorem teatru, Aleksandrem Zelwerowiczem, na podstawie której środki przedstawienia w „Victorii” miały być przeznaczone dla abonentów „Kurierza Łódzkiego”. Umowa ta nie została uzgodniona z Towarzystwem Teatralnym i stąd powstał zatarg. Obie strony dowodziły swojej słuszności. Wreszcie spór przekazano do rozstrzygnięcia sądowi polubowemu, złożonemu z członków zarządu Towarzystwa Kultury Polskiej.

— I cóż ów sąd orzekł?

— Przynał rację Towarzystwu Teatralnemu. Zelwerowicz nie miał

prawa dysponowania przedstawieniem bez zgody Towarzystwa.

— Wyobrażam sobie z jakim uczuciem przyjął Książek orzeczenie sądu — wtrącił się do rozmowy młody reporter „Rozwoju”. — Z pewnością na łamach „Kurierza” nie zamieści już żadnej wzmianki o działalności Towarzystwa Kultury Polskiej, a jeśli tak — to tylko z krytycznymi uwagami.

— Stuszenie, bowiem Książek nie czyni nic darmo — dorzucił Ratyński. — Holduje on bowiem zasadzie: dasz mi ogłoszenie, dam ci wzmiankę, nie dasz — bojkotować cię będę. Milczący dotąd dyrektor Towarzystwa Kredytowego, Leon Gajewicz, zaciągnął się wonnym dymem z cygara, po czym rzekł:

— Ciekawe, jak Zelwerowicz wywiąże się z obowiązków kierownika sceny polskiej w naszym mieście. Wprawdzie dobrał sobie znakomitych współpracowników, gdyż oprócz niego reżyserię przedstawień objął Andrzej Mielewski i Antoni Siemaszko, ale wątpliwe czy na stanowisku dyrektora powiedzie mu się lepiej, aniżeli jego poprzednikom. Wszak pamiętamy, że impreza Wołowskiego skończyła się bankrutem. Grubiński coś tam wyciągnął, ale Gawalewicz wyszedł bez butów. Janowski rzeczywiście zarobił, ale czy to, co pokazał Janowski, można było nazwać teatrem?

— Na początek Zelwerowicz radzi sobie nie najgorzej — zaoponował redaktor Stanisław Łapiński. — Weź-

my chociażby wystawienie „Wesela”. Premiera stała się przecież wydarzeniem w skali wszystkich trzech zabiorów. Na kilka godzin przed przedstawieniem zabrakło już biletów w kasie. Spektakl szedł przy szalenie zapelnionej widowni.

— Zastanawiające, że cenzura wyraziła zgodę na wystawienie tej sztuki — dociekał Ratyński.

— Łapiński powolnym ruchem odsunął od siebie filiżankę z resztkami wystygłej kawy.

— Opowiadał mi Zelwerowicz, że cenzurę głównie zaniepokowały kosy, przypominające prawie Raclawice — wyjaśnił z uśmiechem.

— Rozpoczęły się pertraktacje i ostatecznie policmajster pozwolił na jedną kosę. Reszta aktorów musiała zadowolić się kijami.

— Oj mocne, oj mocne kije nasze, wystarczą na krótkie moskiewskie pałazie — podśmiewując ubawiony Wyganowski, trawestując znaną pieśń powstańcza.

— Sza, mecenasie — uspokajał go Gajewicz. — Jeszcze jakiś szpicel usłyszy i dopiero będzie chryja... Był pan na występie Isadora Duncan? — zwrócił się do Łapińskiego.

— Owszem, byłem. Artystka spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony łódzkiej publiczności, chociaż w moim przekonaniu jest ona nieco przereklamowana.

— Otóż to! — wykrzyknął Gajewicz. — Przedstawienie uważam za chybotne. Wymachiwanie rękami i nogami przez dwie godziny było nużące i wyczerpujące widza, a z każ-

dym tańcem przybierało bardziej monotony charakter. Zmiany stanowiła tylko szata tańcerki, to szara, to złota, to czerwona. Był może, że się mylą, ale odniosłem wrażenie, że tańcerki w balecie są bardziej wygimnastykowane i każda z nich bez trudu wykona ten sam taniec, co Duncan.

— Chyba pan przesadza, dyrektorze. Nie można tej artystce odmówić wielkiego talentu. Raczej uważam, że do występu w Łodzi nie była ona dostatecznie przygotowana.

— I to możliwe — zgodził się Gajewicz. — Publiczność łódzka często traktuje się po macoszemu. Miasto nasze ma szczęście do ludzi, którzy je lubią nabierać. Przyjeżdżają tu impresaria spod ciemnej gwiazdy. Ma taki zaledwie na bilet do Łodzi i podejmuje się urządzenia koncertu. Na kredyt drukuje afisze, na kredyt daje ogłoszenie w gazecie, zabiera co wpłynęło do kasy i dalej w nogi mój drogi.

— Oj, to prawda! — Łapiński poparł Gajewicza. — Służę dowodem. Na początku lutego prasa łódzka zapowiedziała koncert Enrico Tossellego. Koncert nie odbył się, gdyż muzyk zadowolił się sutym zadatkiem pobranym od impresaria i zwyczajnie nawiał. Tosselli w ostatnim czasie częściej występuje w roli aferyzisty, aniżeli artysty-muzyka.

Ratyński kręcił głową z dezaprobatą.

— O tym, że zdarzają się nieuczciwi impresaria, słyszałem już nie raz. Ale żeby artysta... — W życiu różnie bywa — powiedział Wyganowski. — Nawet w najlepszych rodzinach zdarzają się aferyści i naciągacze. Zwłaszcza w Łodzi ich nie brak.

— Im więcej afer i ciemnych interesów, tym szersze pole działania dla adwokatów — zauważył kąśliwie Ratyński.

— Jak również niewyczerpane źródło sensacji dla prasy — odciął się adwokat.

— Gotowi wziąć się jeszcze za bany — zamruzczał Gajewicz. — Siada-

Wiktorze! — zwrócił się do przybyłego przed chwilą wydawcy „Rozwoju” Czajewskiego, przysuwając mu krzesło.

— Dziękuję ci, Leonie, chociaż Bogiem a prawdą wysiedziałem się aż nado — całe cztery miesiące — dowiecipkował Czajewski.

— I to w jakim towarzystwie! Prawie sami bojownicy wyczekujący na wykonanie wyroku śmierci. Z naczelnikiem więzienia Modzelewskim grywałem w karty.

— Prawda to, że waży on aż 11 pudów? — zapytał Wyganowski.

Czajewski przyglądał palcami sumiaste wąsy.

— Nie pytałem go o to, ale jest o pasy jak wieprz. Naczelnik lubi dobrze zjeść i popić, zabawiać się z prostytutkami i uprawiać gry hazardowe. Jego prawą ręką jest Fremel.

— Ten kat?

— Tak! Za każdego powieszzonego skazańca otrzymuje 25 rubli. Przed egzekucją Modzelewski urządza zazwyczaj pijatykę, na którą zaprasza szpicłów i kobiety sprzedajne. Gdy już towarzystwo porządnie się schleje, zwykle około północy, wtedy wyciąga się skazańców do egzekucji. Fremel popisuje się katowskim rzemiosłem.

— Kiedykolwiek przechodzę obok więzienia i dostrzegam wylanąjącą się zza muru poprzeczną, obydną belkę szubienicy, zawsze staje mi przed oczami postać człowieka w czarnej pelerynie i w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, złowieszczą postać kata Łodzi — dziełł się Łapiński swoimi refleksjami.

— W więziennym żargonie szubienicę tę nazywają „huśtawką”. Niektórzy więźniowie twierdzą, że niegdyś to była rzeczywista huśtawka, ustawiona w nieistniejącym już ogrodzie naczelnika więzienia — dorzucił Czajewski.

— Pohuśtał bym na niej Fremla... — szepnął jakiś młodzieniec od sąsiedniego stolika. Oczy paławy mu nienawością. Zapadło kłopotliwe milczenie.



Foto: W. Parys

Ryszard Binkowski

OD SOSNY DO CHOINKI

W europejskiej strefie klimatycznej przeważają drzewa iglaste. Europa odczuwa deficyt drewna. Zdarzają się jednak przypadki dość paradoksalne; wynikają trudności z przerobem drzew liściastych. Łatwiejsze do obróbki jest drewno z drzew iglastych, ma ono również szersze zastosowanie. Dlatego też w leśnictwie duża wagę przywiązuje się do wzmocnienia produkcji drzew iglastych.

Nasza sosna pospolita zajmuje około 75 proc. drzewostanu. Dobrze się czuje w polskich warunkach klimatycznych, podobnie jak brzoza może rosnąć na piasku i na bagnie. Pod tym względem stanowi niewątpliwie konkurencję dla gatunków obcych. Ale sosna jest światłożądna. Im większa, tym więcej potrzebuje światła, i w wieku 80-100 lat należy ją przerzedzać. W związku z tym masa drewna ze stuletniej sosny wynosi średnio 350 m sześć. z ha.

Tymczasem lasy iglaste w Ameryce Północnej dają do 2.000 m sześć drewna z ha. Gdyby więc w naszych warunkach klimatycznych osiągnąć tylko połowę tego uzysku, byłby to już sukces.

Oczywiście, nie może być mowy o zachwasczeniu rodzimej flory, wato jednak sprowadzać z podobnych stref klimatycznych za granicą takie gatunki, które przewyższają pod względem jakości i ilości masy drewna naszego i sprawdzać możliwości ich uprawy w Polsce.

Sprawami tymi, ale nie tylko, jak się później okaże, zajmuje się Lesny Zakład Doświadczalny SGGW w Rogowie.

Zakład powstał w roku 1919, kiedy to Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych przekazało Nadleśnictwo Skierniewice, teren o powierzchni 9.000 ha dla potrzeb naukowych i dydaktycznych Wydziału Leśnego Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Obecnie powierzchnia ogólna Nadleśnictwa Rogów wynosi 3,6 tys. ha, ale poważnie zostały rozbudowane placówki doświadczalne. Przy stacji kolejowej Rogów pracują Doświadczalne Zakłady Drzewne, składające się z 3 oddziałów produkcyjnych: tartaku, stolarni, skrzynkarni. Wytworzą się tu głównie meble i wyposażenia dla laboratoriów, pracowni i pomieszczeń dydaktycznych oraz prowadzą zajęcia i prace naukowo-oddawcze Wydziału Technologicznego z zakresu mechanicznej obróbki drewna, wykorzystania i klejenia drewna.

Powstało też sześć pracowni poszczególnych instytutów: instytutu przyrodniczych podstaw leśnictwa i hodowli lasu, organizacji gospodarstwa leśnego, ochrony lasu i drewna, użytkowania lasu i inżynierii leśnej, technologii drzewnictwa oraz maszyn i urządzeń leśnych i drzewnych.

Jedną z najciekawszych placówek jest niewątpliwie Muzeum Lasu i Drewna. Zbiory obejmują następujące działy: zoologia leśna i lotnictwo (460 okazów ptaków, ssaków, płazów i gadów), entomologia leśna (150 ga-

biot z kolekcjami owadów), fitopatologia (okazy grzybów pasożytniczych i uszkodzeń drewna), ksyloleka (350 próbek drewna gatunków krajowych i obcego pochodzenia oraz kolekcja eksponatów z wadami drewna), botanika leśna (około 100 gatunków szyszek i zbiorów zielników), użytkowanie lasu (narzędzia do żywicowania i sprzęt mechaniczny do pozyskania drewna) i hodowla lasu (narzędzia do prac odnowieniowych i pielęgnacyjnych, obejmujący 35 eksponatów i 3 gabloty z profilami różnych typów gleb leśnych).

Bardzo chciałem to wszystko obejrzeć, ale okazało się, że mogę tylko uzyskać dane ogólne o muzeum. Moje nadzieje na zwiedzenie placówki pod okiem przewodnika rozwiły się już w chwili, gdy zjechałem pod obroniony dzikim winem budynek i wszedłem na portiernię. Informatorka wskazała mi wejście do sekretariatu, ale z góry zaznaczyła, że dyrektora nie ma. Pani sekretarka rozłożyła beładnie ręce i zaczęła wyliczać: dyrektor w Warszawie, docent, który pełni niejako funkcję kustosa, też nieobecny, dr Tumilowicz na urlopie.

— To co ja mam zrobić? Przecież nie wrócę z pustymi rękoma.

— Nie wiem, proszę pana.

— Niech mi pani pomoże.

— Spróbuję z arboretum.

Zadzwoń! — gdzieś i kazala mi iść do tego arboretum, może zlapie magistra Niewęglowskiego.

Udałem się w las i trafiłem do małego, drewnianego domku z tarasem, krytego eternitem. Dwie kobiety z benedyktyńską cierpliwością selekcjonowały nasioną szyszek. Trzecia, najmłodsza, zaprowadziła mnie na parter muzeum (wstęp wzbroniony), ale magistra tam nie było. Postanowiłem czekać i wrócić do drewnianego domku.

— Przyjemnie tutaj — zauważyłem — cicho, cieniutko...

— A tak, drewniany domek najlepszy. No i piece elektryczne grzeją...

— Ale nerwowo by tutaj nie wytrzymał — powiedziała druga z kobiet.

— Zmudna praca.

— O, jest dr Tumilowicz! — wykrzyknęła pierwsza.

Wstałem z radością na widok doktora i mówię, że czekam jak na boskie zmiłowanie. Podał mi pulchną dłoń i z góry się zastrzegł:

— Jestem na urlopie.

— Może więc ktoś z pracowników mi pomoże?

— Wykluczone! A muzeum to już na pewno pan nie obejrzy. Na to trzeba specjalnej zgody dyrektora.

Poczułem się jak szpieg. Ale mówię jeszcze, że przed laty premier wydał zarządzenie, na mocy którego informacji może udzielać nie tylko dyrektor.

— Możliwe. Ale u nas informację może udzielać tylko pracownik kompetentny. Bo jak coś powie niekompetentny, to potem wychodzą bzdury...

— Magister Niewęglowski jest człowiekiem kompetentnym?

— Owszem, ale w zakresie arboretum. Tylko że bez zgody dyrektora...

— Ja jednak zaczekam na magistrą — oświadczyłem.

Dr Tumilowicz pożegnał mnie chłodno i odjechał samochodem na urlop.

A po chwili do domku wszedł kłopotliwy mężczyzna o szerokiej, życzliwej twarzy, ubrany w gumki, szarą jasionkę i zielony, nieco sfatygowany kapelusz. To był właśnie mgr TADEUSZ NIEWĘGLOWSKI. Zwierzyłem mu się z kłopotów. Uśmiechnął się, kiwając ze zrozumieniem głową.

— Co panu mówi nazwa „arboretum”?

— Niewiele, ale to jest związane z lasem, tak?

— Doświadczalna plantacja leśna, drzewa i krzewy. Możemy porozmawiać, będzie pan miał temat do numeru świątecznego, o choinkach też będzie...

Ale najpierw zaznajomił mnie z zakresem pracy arboretum. Założone w 1925 roku, prawdziwy rozwój przeżyło dopiero po wojnie, począwszy od roku 1951. Obecnie, wraz z parkiem dendrologicznym i alpinarium zajmuje powierzchnię 60 ha, na których rośnie około 1.700 gatunków i odmian drzew, krzewów i roślin chronionych.

Podstawowym zadaniem arboretum jest zakładanie powierzchni doświadczalnych z obcymi gatunkami drzew w celu badania wzrostu i rozwoju tych gatunków w naszym środowisku leśnym oraz oceny ich przydatności dla potrzeb gospodarczych. Od 1952 roku wydawany jest katalog nasion.

Arboretum współpracuje z 200 podobnymi placówkami, w Europie i na świecie, szczególnie z USA, Kanadą, Japonią i Związkiem Radzieckim. Wymiana jest główną drogą zaopatrzenia w nasiona.

— Nasza praca — mówi T. Niewęglowski — jest nieco skomplikowana. W arboretum przeprowadza się próby wstępne na ograniczonym obszarze i do sprawdzenia jest bardzo dużo gatunków. Jeśli próba wypadnie dobrze, to dany gatunek można wprowadzać na skalę gospodarczą w nadleśnictwie Rogów. Jeśli coś nie wychodzi, to straty w arboretum są niewielkie. Najważniejsza jest aktywność, w rolnictwie ze względu na krótki okres wzrostu roślin, można szybko sprawdzić ich przystosowanie się do nowych warunków, u nas wymaga to wielu lat. Ale cierpliwością osiąga się wiele. W drodze selekcji można z dużej grupy wybrać egzemplarze, które nasze warunki znośną dobrze.

— A które drzewa „zagraniczne” czują się u nas najlepiej?

— Najlepiej przystosowują się gatunki drzew z Ameryki Północnej. Chociaż ilość drewna nie zawsze zgadza się z jego jakością...

— No to czy opłaca się dokonywać tyłu zabiegów?

— Proszę pana, ja to panu pokażę na przykładach. Ale najpierw wpadniemy po drodze do alpinarium.

Alpinarium to konik Niewęglowskiego. On w ogóle lubi tę pracę. Mógłby mieszkać w Warszawie, ale woli siedzieć wśród swoich drzew, krzewów ozdobnych i ptaków, bo na

drzewach co krok to budka ptasia. Jak to wszystko wiosną rozkwitnie i rozpiewa się, to naprawdę chce się żyć.

Stoimy nad stawem. Pośrodku okrągła wysepka, z brzegu prowadzi do niej kładka. Woda czysta, szmerze cicho, sycząc się, to naprawdę chce się żyć.

— Ryby pan też hoduje?

— Owszem, chodzi nam głównie o utrzymanie roślinności wodnej, ale ryby też są. Pan wie, jaka była ta woda, gdyby nie ryby? Wszystkie by zarosło, ryby oczyszczają wodę z glonów. A woda leci z hydroforu...

Przechodzimy obok sztucznych wydm, na których rosną m.in. mikolajki nadmorskie. Mijamy sztuczne wzgórze, skalniaki, widzę kosodrzewinę, pięknie rozłożysty jałowiec górski, limbę. Teren obniża się, tu jest bagienko, też sztucznie stworzone. Trzeba było wybrać ziemię, położyć folię i papę, nasypać nowej ziemi i ciągle ją nawadniać. Sztuczne, ale roślinność bagienna niezłe się trzyma.

Wchodzimy na teren doświadczalnych kłocami zielone, mocne i lśniące jak błacha liście na zimę nie opadają. Ostrokrzew czasem przemarza, potem znowu „odbija”. Berberys również nie traci liści.

Niewęglowski zatrzymuje się przed samotnym drzewem.

— To jest amerykańska sekwoja olbrzymia. U nas powinna marznąć. I tak się stało, wszystkie osobniki zginęły, ta jedna została. Kiedy dorosła, będziemy ją rozmnażać z nasion. Na razie robimy to wegetatywnie poprzez ukorzenianie gałązek Fan pytał, czy takie zabiegi są opłacalne.

Otóż sekwoja rośnie masowo w lasach amerykańskich i osiąga wysokość 100 metrów! Daglezja zielona i jodla olbrzymia z Ameryki też rosną niezłe. Tak samo jodla kalifornijska, lecz ta daje mało drewna, jest niewysoka. Są takie gatunki, które rosną szybko do 30-40 lat, potem nasze rodzime je „przeskakują”. Ale skoro nasza sosna musi rosnąć sto lat, aby ją można było ścinać, to te wyżej wymienione gatunki można puszczać w trzech cyklach (po 30 lat) i przeznaczac na papier. To jest opłacalne. Bo trzeba się też liczyć z faktem, że jeśli uzyskujemy duże ilości drewna, to musimy zapewnić drzewom lepsze warunki glebowe. A wiadomo, że leśnictwo dysponuje glebami najlepszymi.

— Słyszałem, że najszybciej rośnie topola.

— To prawda, ale topola nie tworzy kompleksów leśnych. Topole, brzoze i olchy uprawia się w sposób przyspieszony na plantacjach, z przeznaczeniem na papier i celulozę. Gleba musi być dobra, taka plantacja wymaga nawożenia, przycinania i w ogóle troskliwej pielęgnacji. Tak się chucha na krzewy ozdobne, nato-

miast to, co ma rosnąć w lesie, musi być hodowane w warunkach naturalnych.

Stoimy przed grupą cisów (drzewa pod ochroną). Rosną wolno, są niskie.

— Jak pan myśli? — pyta magister — ile mogą mieć lat?

— Nie wiem. Dwadzieścia?

— Pięćdziesiąt cztery! A wysokość pięć metrów. I teraz ma pan porównanie z daglezją zieloną.

Porównuję. To iglaste drzewo ma około czterdziestu metrów wysokości.

— Daglezja jest w wieku cisów. Wysokością przewyższa stuletnią sosnę pospolitą, grubością pnia też jej nie ustępuje. I właśnie czegoś takiego szukamy. Proszę popatrzeć na te leśne tuje. Olbrzymie, co? A jakie proste pnie! I one w Ameryce też tworzą lasy. Albo dąb czerwony. Rośnie na słabszych glebach niż nasz dąb szypułkowy lub bezszypułkowy, a drewna daje wcale nie mniej...

— No, ale modrzewie i jałowce chyba drewna nie dają?

— Myli się pan. Modrzew lubią również leśnicy. Cieszy oko jego wiosenna intensywna zieleń. Wprowadza się go dużo, ale jest rozproszony i stąd wynikają kłopoty z transportem. No i sprawa odpowiednich tartaków. Bo modrzew daje znakomite, twarde, głęboko przeżywiczone i trwałe drewno, które wymaga specjalnej obróbki. Modrzew nie nadaje się do drzewostanu stałego, służy jako domieszka, ale ze względu na jego drobne igliwie i przepuszczalność światła, może pod nim rosnąć gatunek o mniejszych wymaganiach świetlnych, np. jodla.

— A jałowce?

— Jałowce wirginijskie wyrastają w niewielkie drzewka. W ich drewnie znajduje się spora ilość olejków estrycznych, stąd trwałe i przyjemny zapach. Piękne są też barwa i rysunek drewna. Wyrabia się z niego fajki, ozdobne pudełka do cygar i reklamowe ołówki. To są bardzo drogie przedmioty.

Przy niektórych drzewach Niewęglowski zatrzymuje się tylko na chwilę. Jodla syberyjska. Ma bardzo gęste gałęzie, zwalę śniegu ich nie zmią. Jest bardzo odporna na mrozy, ale tylko w okresie spoczynku wegetacyjnego. U nas nie przymuje się dobrze, ponieważ... „ścinają” ją niespodziewane przymrozki.

Jodla kaukaska o miękkim, bujnym igliwii, srebrny od spodu świełek serbski, cyprys azjatycki, jodla grecka o kłujących igłach, drobnoigłasty świełek kaukaski. Te gatunki nie mają takiego znaczenia gospodarczego, są niskie, ale mogą znakomicie upiększyć i urozmaicić rodzimy drzewostan.

Przykucam obok dziwnego, intensywnie zielonego, o bardzo mocnym i ostrym igliwii świerku.

— To jest, proszę pana, świerk szydlasty z Japonii. Rośnie na terenach wulkanicznych. Stykał się ze skażeniami, może więc rosnąć na terenach przemysłowych. Ale prawdę mówiąc, to nie ma drzew odporne na skażenia. Bo chemia w przyrodzie to rzecz nowa, wprowadzona gwałtownie. Każda ingerencja sztuczna w przyrodzie odbija się negatywnie, każda odkryjka lub sztuczny zbiornik wodny powoduje zachwianie równowagi biologicznej. Las cierpi.

— Czy wobec tego grozi nam choinka z plastiku?

— Choinka to wynikająca z tradycji społeczna potrzeba, od której leśnicy się nie uchylają. Lasy zawsze będą dawać choinkę. Bo sady się dużo świerku, który potem trzeba przerzedzać. Leśnik wie dobrze, które drzewko należy wyciąć, żeby inne mogło lepiej rosnąć. Ponadto zakłada się specjalne plantacje choinkowe w miejscach, gdzie nie mogą rosnąć drzewa wysokie, np. pod liniami wysokiego napięcia.

— Nie lubimy sztucznej choinki, a przecież zdarza się, że w punktach sprzedaży pozostają żywe choinki.

— Ale w jakim stanie? Te najgorsze, zmłotzone i polamane. Ani świerk, ani jodla nie rosną na terenie całej Polski. Jodla rośnie na południu, świerk na północy i południu. Centralna część kraju posiada bardzo mało tych drzew. Transport jest drogi, potem w suchym bloku igliwki sypią się jak diabeł. Bo choinkę wycina się nieraz na miesiąc przed transportem. A poza tym dostaje się wagon, który sporo kosztuje. Choinka to materiał objętościowy, trzeba jej jak najwięcej uchronić. Najczęściej po prostu się ją udeptuje...

— Panie magistrze, ma pan swoje ulubione drzewo?

— Uśmiecha się szeroko, z pobłażliwością.

— Gdybym przelał uczucia na jedno, inne bardzo by ucierpiało. No i rzutowałoby to ujemnie na wyniki mojej pracy. Kocham wszystkie drzewa...

A my kochamy choinki. Dzieci „raf” kochają wyciągać spod choinek prezenty. Oczarowani ciepłem świątecznego nastroju nie mamy czasu pomyśleć o ludziach, którzy starają się, aby sprawić nam przyjemność tym radosnym zielonym drzewkiem, co zawsze przychodzi do naszego domu z zapachem dzieciństwa.

W chwili zakończenia działań wojennych, na terenie Niemiec Zachodnich znalazło się około 1 miliona Polaków, w tym prawie 4.000 młodzi, której wojna przerwała studia lub uniemożliwiła ich rozpoczęcie.

W miarę przedłużania się pobytu wysiedleńców polskich w Niemczech aktualna stała się również sprawa studiów wyższych. Straty bowiem wśród inteligencji na skutek polityki okupanta zmierzającej do eksterminacji kulturalnej i wyniszczenia biologicznego narodu polskiego były olbrzymie. Stąd też młodzież polska, nie mogąc wracać bezpośrednio po zakończeniu wojny do kraju, zaczęła się starać o przyjęcie na uniwersytety niemieckie i uczelnie innych krajów zachodnioeuropejskich.

Pierwszym krajem, którym zainteresowali się studenci, była Belgia. Rząd belgijski poczynił duże ułatwienia dla młodzieży polskiej pragnącej studiować na wyższych uczelniach w Belgii przeznaczając dla niej około 500 miejsc na różnych uniwersytetach. Załatwianiem spraw formalnych związanych z rejestracją studentów, ułatwianiem wyjazdu do Belgii, udzielaniem pomocy materialnej zajmował się sztab specjalny I Dywizji Pancerniej. Sprawy studiów wyższych w owym czasie zajmowały się również Polska Misja Wojskowa w Bad Oeynhausen (z ramienia „rządu emigracyjnego” w Londynie), wydział oświaty obozu cywilnego w Lubece oraz Związek Polaków w Brunszwiku.

W tej trudnej sytuacji sprawa studiów wyższych zajęła się Centrala Szkolnictwa Polskiego w Niemczech. Po zorientowaniu się w trudnościach przystąpiono do analizowania możliwości umieszczenia studentów polskich na uniwersytetach i politechnikach niemieckich.

Kierownictwo nad wyższymi uczelniami w Niemczech przejęły władze okupacyjne. One też uregulowały stronę prawną studiów. Na podstawie wydanych zarządzeń Niemcy obowiązani byli przeznaczyć 10 procent ogółu świadczeń na cele kulturalno-oświatowe dla osób wysiedleńców. Zarządzenie to dotyczyło również miejsc na wyższych uczelniach. Wychodzono bowiem ze słusznego założenia, że krzywdy wyrządzone różnym narodom przez hitlerizm powinny być przynajmniej w części wyrównane. Przypadający z tego tytułu limit miejsc na wyższych uczelniach dzielono pomiędzy poszczególne narodowości przebywające w Niemczech.

Centrala Szkolnictwa Polskiego traktowała sprawę studiów wyższych za granicą jako zagadnienie przejściowe, dając temu wyraz w Biuletynie z dnia 10. I. 1946 r. Uwzględniała ona także stanowisko rządu polskiego w tej sprawie. W stosunku do studentów polskich w Niemczech postanowiono więc stosować następującą politykę oświatową: w Niemczech mogły pozostać osoby zaawansowane w studiach bądź obrabiające studia politechniczne, medycynę, weterynarię, fizykę, chemię itp.; studenci z pozostałych kierunków oraz początkujący powinni wrócić do kraju i tam kontynuować studia. Koniecznym warunkiem studiów na wyższych uczelniach w Niemczech było uzyskanie zezwolenia rządu polskiego na określony czas pobytu w tym kraju. Stanowisko to było słuszne, gdyż umożliwiało dokończenie studiów pewnej liczbie młodzieży bez zmiany uczelni, a ponadto dawało pierwszeństwo studiom technicznym, medycznym i innym, wymagającym pracowni i laboratoriów oraz pozwalalo na zwiększenie liczby studentów studiujących kierunki najbardziej potrzebne dla kraju.

W początkach września 1946 roku kierownicy okręgowych szkolnych otrzymali od szefów polskich misji repatriacyjnych zgodzony z UNRRA oświadczenie z poleceniem rozesłania go do skupisk studenckich. Podano w nim do wiadomości, że osoby pragnące studiować w Niemczech mają uzyskać od władz polskich zezwolenie na dalszy pobyt w tym kraju. W tym celu należało wnieść podanie o uzyskanie zezwolenia na nowy rok studiów. Do podania trzeba było dołączyć wypełniony kwestionariusz (15 pytań) oraz 3 zdjęcia w celu otrzymania paszportu i legitymacji konsularnej. Słuszną myśl uregulowania kierunku studiów i pobytu studentów polskich w Niemczech chybila jednak celna skutecznymi dochodzącymi organizacyjnymi i propagandowymi kół promigracyjnych. Sytuacja ta nie uległa poprawie i w latach następnych.

Dzięki usilnym staraniom Centrali u władz alianckich i UNRRA udało się uzyskać dla młodzieży polskiej z terenu Niemiec i Austrii 2000 miejsc na wyższych uczelniach niemieckich. Ponadto w Monachium otwarty został dla wysiedleńców specjalny Uniwersytet i Politechnika UNRRA. Łącznie z miejscami na uniwersytetach w Belgii stanowiło to około 2.600 miejsc. Była to liczba znaczna, którą jeszcze w wielu wypadkach udało się zwiększyć dzięki o-

sobistym kontaktom pracowników Centrali i kierowników okręgowych szkolnych z władzami uczelni.

O dużym zainteresowaniu studiami wyższymi świadczy powołanie do życia Polskiej Wyższej Szkoły Technicznej w Esslingen nad Neckarem (koło Stuttgartu). Jej słuchaczami była młodzież w wieku 18-35 lat życia, w tym niewielka liczba dziewcząt. Początkowo warunkiem przyjęcia było ukończenie przynajmniej szkoły powszechnej i odbycie praktyki w przemyśle oraz złożenie egzaminu wstępnego (przyjmowano na okres próbny). Po reorganizacji wymagano ukończenia szkoły średniej.

W 1947 roku większość studentów złożyła eksternistycznie egzamin doj-

strajku głodowego studentów, uniwersytet zamknięto, tłumacząc to koniecznością zwrotu gmachu. Fakt ten wywołał wielkie rozgoryczenie wśród studentów, z których jedni, wobec pogorszenia warunków materialnych, zrezygnowali ze studiów w ogóle, inni natomiast przenieśli się na uczelnie niemieckie. Fakt powyższy jest wielce charakterystyczny. Ukazuje bowiem zmianę stosunku władz okupacyjnych do studiów wyższych dla wysiedleńców. Przychylna początkowo postawa zaczęła się zmieniać. Właściwą przyczyną zamknięcia uniwersytetu była przygotowywana akcja emigracyjna.

Sytuacja materialna studentów polskich w Niemczech miała duży

wpływ na dobre wyniki w nauce przez studentów polskich. Część składających prace dyplomowe otrzymała wyróżnienie, około 50 procent złożyło egzaminy półdyplomowe; na egzaminach otrzymywali oceny bardzo dobre i tylko 10 procent nie zdało na wyższy semestr.

Jak w tym świetle przedstawiali się warunki materialne studentów „zarejestrowanych”? Otóż polskie władze konsularne przyznały studentom zarejestrowanym i mającym zezwolenie na kontynuowanie studiów w Niemczech paszporty i legitymacje, stypendia, urlopy, w celu wyjazdu do kraju oraz inne świadczenia materialne, jak np. papierosy, które stanowiły poszukiwany artykuł i przedstawiały niemajął wartość nabywczą na ówczesnym rynku niemieckim. I tak po pierwszej rejestracji studenci polscy otrzymali na przestrzeni od grudnia 1946 roku do marca 1947 roku po 200 marek i po 100 papierosów miesięcznie z funduszu nauczycielskiego. Jednak od kwietnia 1947 roku nastąpiła przerwa w przydzielaniu stypendiów i papierosów, spowodowana reorganizacją systemu opieki nad studentami. Po dłuższej przerwie wznowiono wypłatę stypendiów w wysokości 500 marek miesięcznie. Poza tym studenci zarejestrowani otrzymywali niewielki przydział papierosów z Polskiego Czerwonego Krzyża. Wszystko to w sumie, wraz z racjami otrzymywanymi z IRO (Międzynarodowa Organizacja Uchodźców z siedzibą w Genewie), nie było oczywiście wystarczające, ale umożliwiała studentom zaspokojenie przynajmniej najważniejszych potrzeb życiowych.

Duży wpływ na kształtowanie się życia społeczno-politycznego studentów polskich w Niemczech oraz na stosunek do kraju miały organizacje studenckie. W początkowym okresie studenci tworzyli przypadkowe zbiorowiska, na ogół bez podziału pod względem politycznym. Z czasem w organizacjach tych pojawiają się różnice przede wszystkim ze względu na zagadnienie powrotu do kraju. Studenci poszczególnych grup narodowościowych na wyższych uczelniach należeli do „Bratniej Pomocy”, której przewodniczącymi byli zwykłe studenci o większym wyrobieniu organizacyjnym i zdecydowanych poglądach politycznych.

Grupy emigracyjne starały się pozyskać studentów za pośrednictwem m. in. „Związku Polaków” — organizacji zdecydowanie prolonindyjskiej, oraz „Bratniej Pomocy”. W poszczególnych strefach okupacyjnych odbywały się zjazdy delegatów, na których dokonywano formalnego podporządkowania „Bratniej Pomocy” „rządowi londyńskiemu”. Na zjeździe w Hannoverze w dniach 13-14 kwietnia 1946 roku utworzono „Związek Studentów Polskich w Strefie Brytyjskiej”. Podobny związek utworzono w amerykańskiej strefie okupacyjnej w maju 1946 roku. Obie organizacje studenckie w Niemczech Zachodnich nawiązały ścisły kontakt z centralną organizacją w Londynie poprzez nacelną organizację studencką w Brukseli.

Po zorganizowaniu „Związku Studentów Polskich” pogłębił się rozłam między studentami polskimi. Zwolennicy emigracji, a przede wszystkim prezesi i wiceprezesi „Bratniej Pomocy” i „Związku Studentów Polskich” wywerali nacisk na zwolenników powrotu i niezdecydowanych. Warunkiem przyjęcia do „Bratniej Pomocy” i „Związku Studentów Polskich” było podpisanie deklaracji ideowej, która była wyrazem podporządkowania się grupom emigracyjnym uznającym „rząd londyński”. W walce o pozyskiwanie sympatyków emigracji dużą rolę odegrała prasa materialna, co ze względu na trudne warunki życia studentów nie pozostawiało bez wpływu na urabianie postawy politycznej. Studentom kierowanym na wyższe uczelnie przez władze polskie utrudniano utrzymanie miejsc w domach studentów, odmawiano przyznania sortów mundurowych, bojkotowano ich i szkanowano. W latach następnych większość studentów została opanowana przez czynnik emigracyjny.

Rząd Polski Ludowej, mimo trudności wewnętrznych, starał się wywrwać studentów spod wpływu przywódców emigracyjnych. Przy konsulatach polskich w Niemczech Zachodnich utworzono w czerwcu 1948 roku Delegatury Studentów Polskich, które objęły strefę brytyjską i amerykańską. W lutym 1948 roku odbył się w Warszawie II zjazd delegatów studentów polskich z Niemiec Zachodnich, w którym wzięto udział kilkudziesięciu studentów ze wszystkich stref okupacyjnych. Po powrocie do Niemiec organizowali oni zebrańia, na których informowali swoich kolegów o sytuacji i życiu w Ojczyźnie. Dzięki wysiłkom władz polskich, administracji szkolnej oraz ideowym jednostkom pewna część studentów i absolwentów powróciła do kraju, aby tu kończyć studia, bądź też włączyć się do pracy nad odbudową ojczyzny.

HENRYK MUZIÓŁ

STUDIA ZAGRANICZNE PO WOJNIE

rzealności w Polskim Liceum Matematyczno-Fizycznym w Heilbronn.

Tempo pracy było bardzo szybkie, a programy przeładowane. Zajęcia trwały od godziny 8 do 18, z dwugodzinną przerwą obiadową, przy czym wykłady odbywały się przed południem, a ćwiczenia po południu. Warunki zakwaterowania były dobre. Wyżywienie dostarczała UNRRA, wykazując duże zainteresowanie uczelniami i udzielając jej wszelkiej pomocy. Po zlikwidowaniu UNRRA warunki pracy szkoły znacznie się pogorszyły. Początkowo Polska Wyższa Szkoła Techniczna zamierzała szybko zakończyć swoją działalność, jednak okres istnienia uczelni przedłużył się do lipca 1949 roku. W tym czasie odbyły się egzaminy dyplomowe dla tych, którzy posiadali świadectwa dojrzałości lub go złożyli w międzyczasie i odbyli przepisane studia. Pozostali zaś otrzymali świadectwa techników, bądź też dokończyli studia po powrocie do kraju.

Specjalnego omówienia wymaga Uniwersytet UNRRA w Monachium. Uniwersytet łącznie z politechniką przeznaczony był wyłącznie dla studentów wysiedleńców różnych narodowości. Otwarto go 16 lutego 1946 roku w gmachu muzeum niemieckiego. Urządzeniem i wyposażeniem zajęła się UNRRA i armia amerykańska. Przez cały okres swego istnienia (do stycznia 1947 roku) znajdował się on w bardzo trudnych warunkach ze względu na brak laboratoriów, umebłowania, a nawet i sal wykładowych. Studiowało w nim około 2000 studentów z 24 narodowości. Profesorami byli również wysiedleńcy. Założeniem wychowawczym uniwersytetu było osiągnięcie zbliżenia między narodami. Cel ten, zdaniem studentów uniwersytetu, udało się osiągnąć. Na uniwersytecie panowały tolerancja narodowa i religijna.

W końcu 1946 roku dało się zauważyć wyraźne dążenie UNRRA do zamknięcia międzynarodowego uniwersytetu. Ostatecznie w styczniu 1947 roku, mimo pięciodniowego

wpływ nie tylko na wyniki ich studiów, lecz również na orientację polityczną oraz na ustosunkowanie się do kraju. Początkowo sytuacja materialna studiujących była zadowalająca. Student korzystał z tych samych uprawnień, które przysługiwały mu w czasie pobytu w obozie po zwolnieniu. Część więc miała uprawnienia DP (Displaced Persons) — wysiedleńców, pozostali zaś (znaczną większość) byłych jeńców wojennych. Ci ostatni otrzymywali żołd: oficerowie — 400, żołnierze — 160 marek okupacyjnych, lepsze racje żywnościowe i papierosy. Wszyscy ponadto otrzymywali dodatkowe przydziały żywności i co pewien czas odzież, bieliznę i obuwie. Chęć udzielenia pomocy szła tak daleko, iż czyniono Centrali Szkolnictwa Polskiego obietnice zorganizowania specjalnych osiedli dla studentów przy niektórych uniwersytetach, gdzie mieli otrzymać zakwaterowanie, wyżywienie i pozostać do czasu repatriacji pod opieką polskich profesorów. Jednak sytuacja materialna ulegała stopniowemu pogorszeniu, a przydziały żywnościowe stale zmniejszaniu, tak że stały się prawie „głodowe”. Te trudne warunki łagodziła pomoc różnych organizacji społecznych działających na terenie Niemiec Zachodnich, zwłaszcza Rady Polonii Amerykańskiej. Z czasem jednak, tj. w 1948 i ta pomoc ustalała prawie całkowicie. Przeprowadzona w dniu 26 czerwca 1948 roku reforma walutowa wpłynęła szczególnie niekorzystnie na życie studentów wysiedleńców, gdyż ceny wzrosły od 10 do 30 procent, a ponadto zawiody dotychczasowe źródła pomocy. Skutki reformy stały się natchmiast widoczne, gdyż zmniejszyła się liczba studentów polskich.

Ciężką i tak sytuację materialną pogarszała konieczność uiszczania opłat w postaci czesnego i taksy egzaminacyjnej, które obowiązywały w stosunku do studentów w okresie późniejszym na równi ze studentami niemieckimi. Godny podkreślenia jest fakt uzyskiwania w takich warun-

STARE SPRAWY

Ci, którzy sądzą, że życie piłkarza usiane jest różami, mogli — oglądając mecze ligowe 4 grudnia 1977 roku — łatwo przekonać się, że jest inaczej. Życie to czasem może być usiane śniegiem i kawałkami lodu. Aby było już zupełnie śmieszne mecze z 4 grudnia i wcześniejsze zalicza się już do rundy wiosennej. Ale myłoby się ten, kto sądzi, że w przyszłym roku będzie lepiej. Szanse na to są minimalne, gdyż dalszy ciąg wiosennej kolejki rozpoczyna się 26 lutego 1978 roku i wtedy boiska piłkarskie nadal mogą być zaśnieżone i zamaznięte.

Taki a nie inny kalendarz ligowych rozgrywek wiosny 1978 wynika z tego, że piłkarska reprezentacja Polski musi solidnie przygotować się do występów w Argentynie. Liga wiosna została więc podporządkowana celowi nadrzędnemu — przygotowaniem do obrony naszej pozycji w rozgrywkach „Mundial 78”. Nie u wszystkich to wzbudziło entuzjazm, nie wszystkim się podoba. I nie tylko dlatego, że trzeba grać na zimowych stadionach, że widownia tych stadionów jest pustawa. Również dlatego, że przygotowania do rozgrywek „Mundial 78” komplikują ligowe rachuby. Walka o punkty musi się toczyć w innym rytmie, w innych warunkach.

Niektórzy słabą grę w rundzie jesiennej próbowali już tłumaczyć letnimi przygotowaniem polskiej reprezentacji piłkarskiej do decydującej walki o zwycięstwo w eliminacjach do mistrzostw świata. Eliminacje w grupie Polska wprawdzie wygrała, ale kluby nie mają z tego wielkiego pożytku, raczej wielkie kłopoty. Spotkałam się na przykład z takim poglądem, że ŁKS grał słabiej jesienią, bo Stanisław Terlecki i Bogdan Masztalerz wojażowali po Ameryce Południowej, a Jan Sobol był z Zagłębem Wałbrzych w Wietnamie. Przez te wyjazdy nie mogli przygotować się należycie do jesiennej rundy i pod jej koniec grali coraz słabiej.

Gra w piłkę jest ryzykowna i każdemu z grających może przytrafić się kontuzja. Przewodzący drużynę zatem powinien liczyć się z taką ewentualnością. Powinien mieć rezerwę. Zespół RTS Widzew wcale nieźle sobie poczynił, kiedy Zbigniew Boniek chorował na żółtaczkę. Mielecka Stal jakoś gra nadal, choć Grzegorz Lato ma nogę w gipsie. Andrzej Szarmach przez pewien czas nie grał ani w zabrzańskim Górniku, ani w mieleckiej Stali. Jerzy Gorgoń miał bardzo długi okres absencji i to zarówno w zespole klubowym, jak i w reprezentacji narodowej. Wreszcie Włodzisław Lubański też długo chorował. I jakoś piłkarski świat się nie zawałił, a raczej przeciwnie — toczył się dalej. Na miejsce tych, którzy pauzowali przychodzili inni i wcale sobie źle nie radzili. Czasem nawet — tak już jest w życiu — absencja osób dawała szansę ich następcom.

Kiedy szuka się usprawiedliwień, każdy powód jest dobry. Tym bardziej, że interes klubów nie jest zbiedzny z interesem reprezentacji. Kluby nie są wcale dumne z faktu, że ich zawodnicy grają w reprezentacji. Dla klubów byłoby najłepsze, gdyby w ogóle nie było reprezentacji. Byłoby spokojnie. Można byłoby powalczyć o punkty. Łałoby się jakoś dziury powstałe na skutek kontuzji i wcale nie trzeba byłoby ujawniać, że piłkarskie zespoły mają minimalne rezerwy.

Jeśli sprawę wziąć na zdrowy rozum, jeśli chwilę pomyśleć logicznie, to w końcu wcale nie trzeba byłoby skraćć sezonu ligowego, ani tworzyć kalendarza rozgrywek, który sprzeczny jest z właściwym kalendarzem. Ubytek 20 piłkarzy — nawet najlepszych — nie powinien dla 16 dobrze wyposażonych w rezerwy drużyn stanowić jakiegokolwiek problemu. Ale stanowi. Właśnie dlatego, że ławki rezerwowe są puste, że wzmocnia się drużyny nie poprzez awans własnych wychowanków do pierwszej drużyny, a dzięki osławionym już transferom.

Do reprezentacji awansuje się w wyniku konkurencji. Decyduje o tym dobra forma. W klubowej drużynie gra się nawet bez formy, bo często nie ma kto zastąpić. Brak konkurencji, rywalizacji działa antychowawczo. Przyczynia się do osłabienia poziomu gry w lidze. A gdyby PZPN kazał na dodatek grać w tym samym czasie, kiedy szkoli się reprezentacja, to słabość ligi ujawniłaby się jeszcze wyraźniej. Dlatego kluby robią wszystko, aby PZPN raczej był w niezgodzie z kalendarzem niż miałby być w niezgodzie z klubowymi interesami. A gdyby tak PZPN popróbował? Gdyby nie zmieniał kalendarza, wychodząc z założenia, że drużyny klubowe mają rezerwy i mogą grać zgodnie z kalendarzem, kiedy wiosna jest wiosna, a jesień jesienią? Co by się stało? Może byłoby to sposobem zmuszającym do zwiększenia rezerw?

BOGDA MADEJ



Droga do Rio

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SPRAWDŹ OKNA, ZARYGLUJ DRZWI

(DZIENNIK PODRÓŻY)

Poniedziałek, 22 sierpnia. Wieczór. Można z ręką na sercu powiedzieć, że Kurytyba jest miastem ładnym, bogatym i czystym. Pojechaliśmy na peryferie zobaczyć dzielnicę nędzy (favelę), ale już jej nie było. Ktoś zmiótł z powierzchni ziemi kilkadziesiąt biednych domków — drewnianych, glinianych i blaszanych. Estetyka została przywrócona, pytanie tylko, gdzie podzieli się ludzie...

Odwiedzamy trzy kluby polonijne, w których nikt nie rozmawia po polsku. Są znacznie większe i eleganśniejsze niż te na południu; wyłożone marmurem i szlachetną boazerią, obok — baseny, fontanny, parki, stadiony, kręgielnie, ogródki jordanowskie. Władze Kurytyby patrzą jednak niechętnie na separatystyczne tendencje Polaków — wszelkie nazwy, obwieśzczenia i tablice pamiątkowe pisane są w języku portugalskim. Ról się wprawdzie od różnych Kowalskich, Niedzwieckich i Szewczyków, ale oficjalny szyld stwierdza, że mamy do czynienia ze stowarzyszeniem brazylijskim, a w każdym razie — nie polskim.

Gospodynii restauracji klubowej, 70-letnia niewiasta, powiada: — Człowiek jest przekorny. Parę lat temu byłem w Polsce, rodzina, znajomi wypytywali mnie o Brazylię — chwaliłam, Teskniałam i chciałam wracać. Teraz też chciałabym wrócić, ale do Polski. Tu źle, tam nie-dobrze, bijesz się z myślami, a wszystko polega na tym, że każdy powinien mieć tylko jedną Ojczyznę. W Polsce patrzą na ciebie jak na rarys, tu znowu, w Brazylii nie można dogadać się z ludźmi, mam kontakt z dostawcami i różnymi pomocnikami, panie! niech ich jasny gwint! Oszu-ka, niedowazy, sfuszkuje, myślisz, że myje podłogę, a on zarył się w jakimś kącie i śpi.

Iu rozmówców, tyle ostrzeżeń: uważaj na farmazonów i bandytów! Kurytyba jest niby bogata i czysta, ale każdego dnia zdarza się tu kilka bezczelnych włamań, zuchwałych kradzieży i wstrząsających mordów. Tydzień temu zginął wybitny działacz polonijny, senhor Wachowiak, spokrewniony zresztą ze swoimi znakomitymi imiennikami w Warszawie. Scena westernowa. Przemawiał w szkole, podszedł do niego fazendero z dwoma synami, wszyscy trzej wy-ciągnęli colty. Zaczęli walić na oczach tłum, kiedy przestał się ruszać, spokojnie odeszli.

Brazylii nie lubi ponoć Stanów Zjednoczonych, ale charakter przestępstw jest tu bliźniaczy. Prowincjonalny komendant policji współpracował owoicznie z gangiem dokonującym napadów na banki — dużo czasu minęło nim wpadł. W samo południe bandyci potrafia wdrzeć się do domu i spłądować go kompletnie. Wizjer, łańcuchy, zasuwę w drzwiach, kraty w oknach nie rozwiązują problemu — jak mają przyjsć to i tak przyjdą, i nikt się nie wtrą-

ci: ani sąsiad, ani policjant. Pytasz: kto? słyszysz: otwieraj! Nie otworzysz to wystrzelają zamek. Idziesz po ulicy z torebką, podbiega łobuz i wyszarpuje ci ją z ręki; opierasz się, to dostajesz w ucho; krzyczysz — łapaj złodzieja! a przechodnie odwracają się plecami. Brak świadków. Chroniczny brak świadków. Jeśli nawet znajdziesz jakiegoś świadka, nigdy nie będzie on Brazylijczykiem.

W dzielnicach nierządu i rozrywki lepiej w ogóle nie bywać. Oni tam chodzą na bosaka jak koty, nawet nie usłyszysz, kiedy stanie taki za twoimi plecami. W przeciwieństwie do europejskich rzeźmieszków, którzy brzytwą posługują się raczej jako straszakiem i trzymają ostrze w palcach, Brazylijczycy uczynili z tego instrumentu broń przerażającą. Klinga tkwi w zacisniętym ręku, ledwo ją widać, zaś odgięte ostrze puszczone jest wzdłuż kciści. Zamach wygląda tak jak u boksera, który bije sierpowym, a skutki tego uderzenia nie nadają się do opisu.

W Brazylii nie ma kary śmierci — owego najokrutniejszego i najbardziej radykalnego środka społecznej samoobrony. Najcięższych przestępstw dokonują nie tylko zawodowi bandyci, którzy mają już to i owo do stracenia, ale również ludzie biedni, zdeperowani, którzy do stracenia nie mają nic. Perspektywa: zrobić skok i poprawić swoją sytuację życiową, jest nęcąca. Nie uda się, to najwyższej trafie za kraty na darmowy wikt i opierunek — niewiele to gorzej od głodnej wolności. Nawiasem mówiąc: najemny morderca kosztuje 50 tysięcy cruzerów i często widać go w akcji. W ten sposób ginie tu każdego roku kilkudziesięciu obywateli, nie tylko ze świata przestępczego. Po-wszędzie twierdzi się, że „cyngiel”, który zlikwidował ambasadora Haiti w Brazylii, został oplacony przez sekretarza ambasady, który miał z szefem na pieńku.

W polskich gazetach wspomina się od przypadku do przypadku o brazylijskich szwadronach śmierci, ale na dobrą sprawę nikt nie wie, co to właściwie jest. Kompetentny obywatel przekonywał mnie o zasługach tej tajnej organizacji. Szwadrony śmierci rekrutują się spośród oddziałów policji. Forsuje się te-ż, że szwadrony śmierci działają w interesie społecznym. Fakt, że mają swoich zwolenników wśród radykalnie nastawionego m.e.szczaństwa, ale fakt również, że mają zajadłych wrogów, upatrujących w samym ich istnieniu wielkiego zagrożenia. Szwadrony śmierci są orga-nizacją katowską. Przykład: człowiek skazany na karę dożywotniego więzienia (morderca) wychodzi po dwudziestu latach na wolność. Ano, jedna amnestia, druga, dobre sprawowanie... Szwadron śmierci śledzi go od momentu opuszczenia celi i w stosownym miejscu i czasie, nie godząc się

z wyrokiem sądu, dokonuje na nim morderstwa. Inaczej tego nazwać nie-podobna. Przecież człowiek ten w świetle prawa odpokutował już w ciągu dwudziestu lat za swoje winy. Jednakże szwadrony śmierci, powo-lując się na statystykę, rozpowszechniają argument, że wypuszczenie z więzienia ex-zabójca jest permanentnym zagrożeniem dla społeczeństwa, że lada chwila może znów popełnić morderstwo, a dobry sąd poklepie go po głowce i ponownie odesła do więzienia (nie daj Bóg: znowu z tego więzienia wyjdzie dzięki amnestii i do-bremu sprawowaniu). Ofiarami szwadronów śmierci padają jednak nie tylko gangsterzy, zbrodniarze i tero-ryści, lecz także osoby niewygodne politycznie. Stąd już tylko krok do bezprawia — o pomyłkę, fałszywy donos nietrudno. Każdy może czuć się zagrożony, przed każdym któregoś dnia może pokazać się kilku tych ponurych mężczyzn, żeby dokonali mordu w stylu bezwzględny i mściwy. Szwadrony śmierci prze-znaczają na jednego skazańca ty-e pocisków, ile wystarczyłoby na ma-sową egzekucję i to jest właśnie ich znak rozpoznawczy.

Wtorek, 23 sierpnia. Rano. Autobus

towarzystwa komunikacyjnego Centauro, który odjechał z Kurytyby poprzedniego dnia o godzinie 21.30, zaczyna miać po ośmiu godzinach podróży Sao Paulo. Długo trwa to mi-janie, mimo że ocieramy się tylko o skraj miasta. Godzina, dwie i ciągle jeszcze widać zabudowania tej ogromnej, brzydkiej metropolii. Nie wysiadziemy. Nie! Pojedziemy prosto do Rio de Janeiro. Owszem, rozwa-żaliśmy możliwość ponownej wizyty w tym mieście, tym bardziej że pytał się o mnie tutejszy konsul, i że o-trzymałem przecież telex od pana Scheiblera. Przy pomocy konsula u-udałoby się zapewne odnaleźć rua Barbarosa Lopes, gdzie mieszka le-gendarny pan Scheibler. Ale... w te-lexie nie było bynajmniej zaprosze-nia, nie było też najmniejszej zache-ty. No i zraziliśmy się już do Sao Paulo. Zapewne całe życie będę so-bie wyrzekał, że nie doprowadziłem tej historii do końca. Uraz jest jed-nak urazem. Z każdą godziną drogi robi się coraz gorzej, duszniej, wchodzimy, a właściwie wracamy w tropik. Podróżni wylipiają na przy-stankach wielkie ilości napojów chł-dzących; marynarki i kurtki przesta-ją być potrzebne nawet w nocy. Ra-dio podaje, że temperatura w Rio oscyluje w granicach 35 stopni Cel-sjusza.

Tak wygląda tutejsza zima. Sza-nujący się obywatele wymachują wprawdzie sweterkami, że to niby-zaraz może być chłodno, ale jest to tylko gest pod adresem mody.

Twarze bliszczą od potu. Panie wachlują się gazetami. Ruchy panów są wolne i oszczędne, a dialog leni-wy.

Parędziesiąt kilometrów przed Rio droga wije się pomiędzy wysokimi górami. To, co widać z okna auto-busu, robi wrażenie nawet na Bra-zylijczykach. Spędzamy już w po-dróży drugą kolejną noc — zapomnia-liśmy jak wygląda łóżko, jesteśmy niewyspani, drętwi, bolą nas karki i dręczą trochę perspektywa najbliż-szych godzin. Jednakże wspaniała, dzika panorama oraz świadomość, że zbliżamy się do mitycznego miasta, działa orzeźwiająco.

Wtorek, 23 sierpnia. Południe. Sie-dzimy na dworcu autobusowym w Rio de Janeiro. Co jakiś czas pró-bujemy się dodzwonić do tutejszego agenta PLO, pana Gołubiewskiego oraz do pana Jana Kochańca z pol-skiego Radcostwa Handlowego. Pierwszy telefon milczy, drugi od-powiada po portugalsku, że teraz jest przerwa, siesta, proszę zadzwonić później...

Pijemy kawę w naparstkach. Jest niebywale mocna i smaczna, pomaga jednak minimalnie. Zmęczenie i gwał-towna zmiana klimatów domagają się wypoczynku. I ciszy. Przede wszyst-kim ciszy, tu zaś gotuje się dosłow-nie... W pomieszczeniach dworcowych krąży tysiące ludzi, trój mi się w oczach. Policjant legitymuje jakąś Mulatkę, płacze dziecko, wyją tran-zystory, sklep z pamiątkami nadaje muzykę z płyt, ulicy nie widać, ale ryk przetaczających się samochodów napawa człowieka lekciem. Nigdy je-szcze nie słyszałem takiego ryku, a przecież jest to dopiero niewinna u-wertura...

Zona łapie połączenie z Radco-stwem.

Jak zawsze w takich okolicz-nościach przeżywamy moment silnego napięcia. Pomoga czy spawia? Mili będą czy opryskliwi? Zbyt długo już sprzyja nam szczęście. Przeczuciam kłeskę, ale głos po drugiej stronie przewodu brzmi zachęcająco:

— Przyjeżdżajcie!
— Teraz?
— Tak.
— Ale gdzie?
— No, do Radcostwa. Praia de Bo-tafogo 242, dziewiąte piętro.
— Autobusem?
— Oczywiście. Musicie przejść na drugą stronę dworca i złapać 127 lub 128. Gdzieś po trzydziestu-czterdzie-siu minutach zaczniecie miać Głowę Cukru, wiecie co to jest?
— Wiemy.
— Więc wtedy trzeba wysiąść. Aha, macie gdzie spać?
— Nie mamy. Gdyby pomógł nam pan znaleźć jakiś tani hotel...
— Taaa. No, zobaczymy, coś się zrobi...

Odzyskujemy siły i dobre samo-po-czucie. Zajmujemy miejsca w auto-busie linii 128 i kręta, pełną nawro-tów trasą rozpoczynamy podróż do celu. Jezdnie są potwornie zatłoczone, co kilkadziesiąt kroków wpadamy w zator, z którego — wydawałoby się — nie sposób wyjechać. Ale brazylijscy kierowcy, nie zawsze zgodnie z prze-pisami, dają sobie radę, ścinając chodniki, wskakując w otwierające się na chwilę luki, wyprzedzając inne pojazdy to z prawej, to z lewej bez żadnego zrozumięcia dla pieszych, których głowy pojawiają się bez przerwy przed maską, i masz wra-żenie, że zaraz nastąpi czyjaś śmierć.

O ruchu ulicznym w Rio de Ja-neiro napiszę jednak innym razem. Teraz chciałbym napomknąć, że w Rio de Janeiro ucieły się nasze kon-takty z Polonią. Owszem, spotkamy, jeszcze paru przypadkowych polonu-sów, ale rozmowa z nimi nie przy-niesie nam satysfakcji. Od tej pory opiekę nad nami sprawować będą oficjalne polskie placówki. I dobrze. Przecież im wyżej na północ, tym inna Polonia — mniej liczna, bardziej arystokratyczna. Poprzedniego dnia w Kurytybie inżynier próbował załatwić nam nocleg w Rio. Wykonał w tym celu szereg telefonów oraz rozmawiał z pewnym ustosunkowanym księdzem. Dostaliśmy kosza.

Odmówił nam również emigracyjny artysta.

Często padło pytanie:
— Czego oni w zasadzie chcą? Nie mają pieniędzy?

I odpowiadz:
— Mają. Ale ten człowiek pisze, chciałby zebrać trochę informacji, poznać Polonię, zwiedzić miasto, jed-nym słowem — pozyskać sobie ja-kiegos przewodnika.

— Przykro nam, ale jest to zupeł-nie niemożliwe. Przecież my nic o nim nie wiemy...

Incydenty te są bez wpływu na moją opinię o brazylijskiej Polonii, która w Kurytybie, Rio Grande i Porto Alegre okazywała nam i Polsce tyle nieklamanej sympatii. Z-pomina-my o tych incydentach, tym bardziej, że Jan Kochaniec, wyższy urzędnik z Biura Rady Handlowego w Rio, zajął się nami w sposób przekraczający najśmielsze oczekiwania.

Wchodzimy do gabinetu na dzie-wiątym piętrze domu przy Praia de Botafogo, a on wstaje, wita się z nami i mówi:

— Pierwsza rzecz, to musimy iść na obiad, a potem poszukamy jakie-gos hotelu, nie! co będziecie tłuc się po hotelach, skoro możecie zatrzymać się u mnie.

(cdn.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka



Praia de Botafogo — siesta

U PRZYJACIOŁ

Tematem ostatniego plenum Związku Pisarzy ZSRR były kontakty międzynarodowe radzieckich twórców. Ich liczba z roku na rok rośnie. Rozwija się współpraca między krajami socjalistycznymi a także postępowymi organizacjami i twórcami Zachodu.

Niewątpliwie najważniejszym tegorocznym wydarzeniem w zakresie kontaktów zagranicznych radzieckiej organizacji pisarskiej były Dni Literatury Radzieckiej w Polsce, związane z obchodami Wielkiego Października — stwierdził na plenum i sekretarz ZP ZSRR Geоргий Markow. — Była to pierwsza na tak wielką skalę impreza w bratnim kraju socjalistycznym. Chcielibyśmy jeszcze raz serdecznie podziękować naszym polskim przyjaciołom za gościnne przyjęcie i wspaniałą organizację, za ogromną życzliwość, z jaką odniosły się do „Dni” organizacje partyjne, państwowe i społeczne, a również prasa, radio i TVP. W skład naszej delegacji wchodziło 42 pisarzy. I każde ich spotkanie — w zakładzie pracy, na wielkiej budowie, w klubie czy świetlicy — nasycone było głębokimi treściami, służąc umacnianiu przyjaźni między naszymi narodami i twórcami. Każde spotkanie dawało polskiemu czytelnikowi możliwość przekonania się raz jeszcze, jak ściśle związana jest nasza wielonarodowa literatura z życiem Kraju Rad. Można z całą pewnością stwierdzić, że Dni stały się manifestacją niewzruszonej przyjaźni radziecko-polskiej. Obecnie naszym zadaniem jest wykorzystanie doświadczeń z tej wielkiej imprezy i wcielić ich w praktykę współpracy ze Związkiem Literatów Polskich. Plenum podjęło w tej sprawie odpowiednią rezolucję.

W relacji z pobytu grupy pisarzy w NRD podkreślono obustronne znaczenie współpracy z największymi wydawcami „Volk und Welt” i „Aufbau Verlag”. Pisarze radziecy, którzy odwiedzili Kuba, ze wzruszeniem wspominali przemówienie Nicolasa Guillena na zjeździe związku pracowników kultury i sztuki Kuby, w którym znakomity poeta mówił o światowym znaczeniu bogatych tradycji literatury radzieckiej.

Grupa twórców radzieckich, której przewodniczył Konstanty Siemionow, przebywała we Francji, gdzie z dużym zainteresowaniem spotkał się wieczór poezji radzieckiej. Postanowiono, że również w Moskwie odbędzie się spotkanie z poetami francuskimi, a także opublikowane zostaną dwie antologie, dawnej i współczesnej poezji francuskiej.

Słowackie Wydawnictwo Literatury Pięknej i Sztuki „Tatran” obchodziło w bieżącym roku 30-lecie działalności. W ciągu tych lat bratysłwańska oficyna wydawnicza opublikowała ogółem ok. 3,5 tys. tytułów, w łącznym nakładzie ok. 25 mln egzemplarzy. Znaczną część tej produkcji — ok. 1,900 tytułów — stanowiły przekłady z różnych języków. M.in. przetłumaczono z rosyjskiego — 615 tytułów, z francuskiego — 251, z angielskiego — 211, z polskiego — 155, z niemieckiego — 144, z czeskiego — 140.

Każdego roku nakładem „Tatranu” ukazuje się ponad 100 tytułów w łącznym nakładzie ok. miliona egzemplarzy. Oferty wydawnicze wzbogacają książki wydane dzięki współpracy z licznymi wydawcami zagranicznymi, m.in. wydawnictwem „Iskusstwo” w Moskwie, „Corvina” w Budapeszcie, „Seeman-Verlag” w Berlinie. Efektem współpracy i koedycji z wydawnictwem „Arkady” w Warszawie są liczne publikacje książkowe i albumowe, przeważnie pięknie ilustrowane, np. książki profesora Kazimierza Michałowskiego — „Luksoz”, „Karnak”, „Piramidy i mastaby”, książka prof. Jerzego Szablowskiego „Zbiory Zamku Królewskiego na Wawelu” i wiele innych. „Tatran” współpracuje również z Państwowym Instytutem Wydawniczym i „Ossolineum”.

W podberlińskim Erkner, przy jednej z bocznych uliczek w pobliżu głównej alei im. Karola Marksa znajduje się okazały dom w którym mieszka w latach swej młodości Gerhard Hauptmann, którego 125 rocznica urodzin minęła niedawno.

G. Hauptmann studiował w Berlinie i w tym mieście odbyły się premiery 27 spośród 47 jego sztuk. W Erkner napisał swój pierwszy dramat „Przed wschodem słońca”, wystawiony w 1889 r. w teatrze im. Lessinga. Obecnie we wspomnianym domu znajduje się muzeum poświęcone pamięci pisarza. Zgromadzone tu liczne fotografie, rękopisy, reprodukcje ilustracji jego książek itp. Odbywają się tu często wieczory literackie. Podczas spotkania z okazji 60-lecia Rewolucji Październikowej przypomniano, że Lenin obejrzał swego czasu w Berlinie „Tkaczy” i zachęcał swą siostrę do przełożenia tej sztuki na język rosyjski.

Znany, lewicowy zachodniemiecki pisarz, dziennikarz i publicysta, Gunter Wallraff, po kilku miesiącach pracy, pod zmienionym nazwiskiem, w filii bulwarowej gazety „Bild Zeitung” napisał książkę ujawniającą niecne metody springerowskiej prasy. Książka Wallraffa, wydana w Holandii, żeby uniknąć przeszkód natury prawnej, wzbudziła w RFN niezwykle zainteresowanie i rozszalała się błyskawicznie.

Systematyczne naruszenie praw człowieka (np. zakaz wykonywania zawodu) i praktyka dyskryminacji postępowo myślących obywateli Republiki Federalnej wzbudziły liczne protesty. W artykule zamieszczonym w szwedzkiej gazecie „Dagens Nyheter”, który drukujemy ze skrótami, Gunter Wallraff opowiada, jak w RFN odczuł na sobie metody policyjnej prowokacji i oszczerstw.

„Moja opowieść — pisze Wallraff — nie jest ani satyrą, ani wymysłem. Satyryczne elementy są tylko próbą odzwierciedlenia metod stosowanych przez organa państwa, powołane do ochrony porządku wewnętrznego. Autorami publikowanych notatek są prokuratorzy, komisarze policji i wywiadowcy. Ja osobiście korzystam tylko z nadarzającej się okazji, żeby zacytować wyjątki z ich tajnych doniesień i pozwalam sobie — bowiem dotyczy one bezpośrednio mojej osoby — uzupełniać cytowane notatki krótkimi komentarzami.

Przez półtora roku toczył się przeciwko mnie tajny proces i w tym czasie mój telefon był trzy miesiące na podsłuchu. Dowiedziałem się o tym z gazet. Nikt mnie o tym procesie nie poinformował, nie wzywał do sądu i nie przesłuchiwał. Proces wytoczył przeciwko mnie, 3 czerwca 1975 roku, wyższy urzędnik policji w Kolonii na podstawie donosu profesjonalnego wywiadowcy Federalnej Służby Wywiadowczej (BND — red.) — Reismanna. Motywacja:

„Podejrzany Wallraff, znany szeroko w kraju ze swoich licznych nielegalnych akcji. Wallraff utrzymuje bliskie kontakty ze Szwecją, o której już w czasie porwania Lorentza (chrześcijański burmistrz Zachodniego Berlina, porwany w 1975 roku przez członków lewicowo-ekstremistycznego „ruchu 2 czerwca” — red.) mówiono, iż udzielił schronienia członkom grupy Baader-Meinhof. Wśród nich byli także porwacze”.

Podejrzane kontakty Wallraff — Szwecją — Baader — Meinhof analizowano następnie w taki oto głęboko przemysłany sposób:

„Związek Niemieckiego Przemysłu wydał i rozpowszechnił ostrzegawcze pismo ołkowe zatytułowane: „Wymysł jako broń w walce klasowej — w związku z Gunterem Wallraffem”. Wkrótce potem w gmachu Związku nastąpiła eksplozja. Pewna szwedzka dziennikarka okazała zainteresowanie zarówno tym wybuchem, jak i sprawą Baader-Meinhof. Któregoś dnia zaobserwowano jej samochód przed domem Wallraffa. Jednakże w związku z negatywnymi wynikami

śledztwa jej tożsamość nie ustalono”.

Ta „szwedzka dziennikarka” jest redaktorem szwedzkiego programu w zachodniemieckim radio i z polecenia swoich zwierzchników zajmowała się wyjaśnianiem obu wymienionych spraw. Tak przedstawia się sprawa oskarżenia mnie o podejrzenie kontaktów ze Szwecją. A teraz o przypisywanych mi powiązaniach z terrorystami. Numer mego domowego telefonu miał odnotowany w notesie jeden z członków grupy Baader-Meinhof, aresztowany na ulicy, przy której mieszkałam. A ściślej mówiąc — na sąsiedniej. Na tej podstawie, a także „zgodnie z niepotwierdzonymi danymi dotyczącymi 1969

zaufałem właśnie jemu. Moje doniesienie pozostało jednak bez odpowiedzi”.

Któregoś wieczoru naszło mnie w mieszkaniu dwóch podejrzanych facetów, nalegając że muszą ze mną koniecznie porozmawiać. Jeden z nich powoływał się na Bacha Targina, przywódcę tureckich robotników podczas strajku w fabryce Forda, którego, istotnie, kiedyś poznałem. W tym czasie był akurat w więzieniu. Jeden z tych typów twierdził, iż siedział z Targinem w jednej celi (później to się nie potwierdziło). Od razu przeszli do sprawy, mówiąc iż utrzymują kontakt z Lüterem i Plambem z tzw. frakcji czerwonej armii i przyszłi do mnie jako „to-

OPERACJA „WALLRAFF”

roku”, władze dochodzą do wniosku, że jestem powiązany z hiszpańskimi terrorystami, należącymi do anarchistycznych i innych skrajnie lewicowych ugrupowań.

„Zgodnie z posiadanymi dowodami Wallraff zaopatruje te ugrupowania w broń i materiały wybuchowe”.

Oczywiście nigdy w życiu nikogo nie wspomagałem ani bronią, ani materiałami wybuchowymi i nie robię tego obecnie. Nie mam, i nie miałem, kontaktów z Hiszpanią, jeśli pominąć tranzycyjny przejazd przez terytorium tego kraju w drodze do Portugalii. Jednakże tego rodzaju oskarżenia fabrykowane przez BND mogą być dla mnie bardzo niebezpieczne. Półtora roku grzebał Reismann w moich sprawach prywatnych i politycznych. W dokumentach mojej „sprawy” najczęściej przewijają się takie uwagi jak: „Wallraff przebywa w Kolonii”... „Obserwacja trwa”...

Mego wujka i kuzyna, zamieszkałych w sąsiednim domu, zwerbowało w charakterze donosicieli, żeby mnie śledzili. Nachodząc sąsiadów opowiadają, że włączają przychodzą do mnie terrorysty i że mam w mieszkaniu cały arsenał broni. Kiedy odwiedzili mnie przyjaciele zamieszkał w Karlsruhe i przywieźli mi w prezencie rzeźbiony kuferek z Nepalu, kuzyn donosił do BND, że do mego domu znów dostarczono broń. Któregoś dnia w restauracji, w której jęliśmy obiad — zdarzyło się to wkrótce po jego telefonie do BND — zjawił się nieoczekiwanie patrol policyjny. Moich przyjaciół postawiono pod ścianą, kazano im podnieść ręce o góry, zrewidowano, szczegółowo skontrolowano dokumenty i przejrano ich samochód.

Kiedys pojechałem samochodem do Hannoveru. Podczas wjazdu na autostradę, na szczęście jechałem dość wolno, lewe przednie koło odpadło i auto przewróciło się na bok. Mechanicy w warsztacie stwierdzili, że ktoś rozluźnił nakrętki i wyciągnął próbował „wypompuwać” jedno z moich najważniejszych źródeł informacji o koncernie Herlinga, ale bezskutecznie. Scharfsheer kierował specjalną grupą operacyjną i inwigilował mnie całymi tygodniami. Teraz zaprzeczyl, że wszystko to miało kiedyś miejsce i bardzo sobie ceni, iż

warząysze”, żeby im pomógł w zdobyciu broni i materiałów wybuchowych dla nowo planowanych akcji. Mowa była o ograbieniu banku i planach dywersji w koncernie Herlinga. Dałem im wyraźnie do zrozumienia, że trafiłi pod zły adres. „A jeśli by się potwierdziło to o czym mówicie — powiedziałem tym typom — to zrobię wszystko, żeby tylko przeszkodzić wam w waszych planach”.

Kiedy wyszli, zatelefonowałem w obecności adwokata, do BND. „W tym szczególnym przypadku — powiedziałem — śledztwo nie nastęrczy wam trudności, ponieważ byli to z pewnością wasi ludzie”. Nazajutrz zjawił się u mnie w domu zastępca naczelnika BND w Kolonii w towarzysztwie młodego funkcjonariusza, żeby „uzupełnić fakty”. Komisarz Klein przytulił się ze mną jak ze starym znajomym: „Znamy się przecież” (Klein zajmował się badaniem moich „zdradzieckich powiązań” ponieważ moje reportaże publikowano w NRD). Tym razem był on wieloletni uprzejmością, samą słodyczą, i tylko z niepokojem utyskiwał: „Gdyby pan wiedział, ile mamy przez pana roboty”. Kiedy „przedstawiłem fakty”, Klein powiedział, że da sobie uciąć prawą rękę jeśli obaj prowokatorzy są jego ludźmi. „Są oni, być może, z konkurencyjnego Urzędu Ochrony Konstytucji?”... O nie, Klein z pewnością tak nie myślał.

Po upływie kilku tygodni powiedział mi przez telefon: „Wyjaśnilim pańska sprawę. To było dwóch nieszkodliwych, drobnych złodziejków i pijacków, którzy próbowali zrobić z siebie działaczy politycznych”.

7 grudnia 1976 roku dowiedziałem się, że tajny proces przeciwko mnie zakończono. 15 miesięcy gorączkowej, kosztownej inwigilacji i w konsekwencji nic, co stworzyłoby podstawy do pociągnięcia mnie do odpowiedzialności sądowej. Teraz mogłbym więc uważać, że mam pełną satysfakcję, otrzymując świadectwo stwierdzające, iż „oficjalnie zdalem egzamin jako nie-terrorysta”! Ale oto dowiaduję się od pewnego pracownika sieci telefonicznej, że mój telefon jest znów na podsłuchu! Oświadczenie tego pracownika, z załączeniem odpowiednich dowodów, przekazałem adwokatowi. Będzie przechowywał te dokumenty dopóty, dopóki technik, który naruszył przepisy o zachowaniu tajemnicy służbowej nie znajdzie sobie innej pracy, której teraz pilnie poszukuje”.

Oprac. JERZY CZECH

Już o dokumencie końcowym Upadek rządu Soaresa Nierozważne poczynania

I znów nagromadziło się wiele wydarzeń międzynarodowych. Przede wszystkim jednak w minionym tygodniu uwaga koncentrowała się na Belgradzie, Lizbonie i Bliskim Wschodzie. W takiej też kolejności będziemy komentować owe wydarzenia.

Przedstawiciele państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE obradują w BELGRADZIE i na posiedzeniach plenarnych i w grupach roboczych. Obecnie dominują najważniejsze problemy umacniania bezpieczeństwa i współpracy w Europie, przy czym w minionym tygodniu wiele głosów odnosiło się już do organizacji pracy końcowego etapu spotkania. Przedstawiciel Węgier zgłosił na przykład formalną propozycję przejścia do tego punktu porządku dziennego, w którym powinno się opracować dokument końcowy.

W ub. tygodniu przemawiał również przedstawiciel Polski — amb. M. Dobrosielski, który m.in. apelował o podjęcie wspólnych kroków w celu zahamowania wyścigu zbrojeń. Od zakończenia II wojny światowej wydatkowano już na zbrojenia 7 tysięcy

miliardów dolarów (w cenach bieżących). Obecnie w ciągu dwóch minut: przeznaczają się na zbrojenia więcej niż wynoszą wszystkie koszty całego spotkania Belgrad 77. Oto skala problemu. Dlatego każdy krok w kierunku rozbrojenia i odprężenia militarnego ma również w aspekcie ekonomicznym ogromne znaczenie. ZSRR — z okazji 60-lecia Wielkiego Października — zaapelował do wszystkich narodów, rządów i parlamentów świata, aby przyczynili się do odwrócenia procesu militarystyki.

A teraz z Belgradu przeniesmy się do LISBONY, aby skomentować upadek mniejszościowego rządu socjalistycznego M. Soaresa.

Połączonymi głosami partii opozycyjnych nie otrzymał on votum zaufania, które związał formalnie z akceptacją dotychczasowej formuły rządowej oraz miliardowego kredytu dla Portugalii. W istocie chodziło o coś więcej — o pogarszającą się szybko sytuację polityczną, co łączy się z wielkimi kłopotami gospodarczymi.

Jak obecny kryzys rządowy może być rozwiązany?

Obserwatorzy życia politycznego w Portugalii najczęściej mówią o dwóch ewentualnościach: ponownego powołania Soaresa misji utworzenia nowego rządu lub też sformowania gabinetu z technokratów i stosunkowo szybkim rozpisaniu wyborów. Przypuszczają się, iż Soares zaakceptuje propozycję utworzenia nowego rządu, ale nie od razu. Będzie chciał bowiem wykazać, że niczego nie można dokonać w kraju bez Partii Socjalistycznej.

Czym aktualnie charakteryzuje się sytuacja polityczna w Portugalii? Gwałtowna ofensywa dwóch partii prawicowych przeciwko rządowi i przedstawicieli Eanesowi. Niestety, nawet wobec tej ofensywy Partia Socjalistyczna nie przyjęła postulatów komunistów, dotyczących niepogarszania warunków bytu masom pracującym, co mogłoby jej zapewnić wsparcie Partii Komunistycznej.

Trzeci zapowiadany temat dzisiejszego komentarza — to BLISKI WSCHÓD, a ściślej poczynania prezydenta Sadata.

Jak wiemy, na własną rękę udal się on do Jerozolimy i podjął bezpośredni dialog z Izraelem. Następnie zwołał do Kairu konferencję, w której uczestniczyć mają także USA i Izrael. Wszystko to wywołało zdecydowany sprzeciw części państw arabskich, z którymi w następstwie ich

Zaufanie Rozbrojenie Współpraca

Wielokrotnie mowa schodzi na temat, kto forsuje wyścig zbrojeń, tylekroć natowscy stratedzy i przedstawiciele wojskowo-przemysłowego kompleksu państw kapitalistycznych wskazują na Wschód. Dzień za dniem, bez wstęchnienia, powtarzają stare kłamstwo o „zagrożeniu ze strony bloku wschodniego”. W rzeczywistości jest akurat odwrotnie.

Bezpośrednie wojskowe wydatki krajów NATO wzrosły w okresie od 1949 roku do 1976 z 3,4 miliarda do 160 miliardów dolarów. W ciągu ostatnich lat zwiększały się one w tempie szczególnie szybkim. W ubiegłym roku finansowym wojskowe budżety wyniosły: w USA — 118 miliardów dolarów, w RFN — 32,8 miliarda marek, w Wielkiej Brytanii — 6,3 miliarda funtów szterlingów. Są to rekordowe sumy dla każdego z tych wymienionych państw. We Francji, w okresie od 1977 roku do 1982 przeznacza się ogromne sumy na zwiększenie mocy potencjału jądrowego, który ma wzrosnąć aż czterokrotnie.

Jednym z ukochanych dzieci Pentagonu, tego koordynacyjnego ośrodka kompleksu wojskowo-przemysłowego, jest przelazna bomba neutronowa, która wywołała burzę protestów w całym świecie. Teraz rozważa się kwestię zaopatrzenia rakiet Lance w głowice neutronowe. Dowództwo sił zbrojnych USA chce narzucić noworodzący broń jądrową także swoim sojusznikom.

Biorąc pod uwagę wszystkie asygnacje, zarówno bezpośrednie, jak i pośrednie, wojskowy budżet USA wynosi obecnie około 15 procent globalnego dochodu narodowego. We wnętrznopolityczne następstwa rozmuchiwania hysterii wojennej w USA są widoczne: 25 milionów Amerykanów żyje w nędzy, w kraju jest 10 milionów bezrobotnych, około 23 miliony obywateli USA w wieku ponad 16 lat nie umie czytać i pisać, dla 9 Amerykanów spośród 10 lecznicie w szpitalu jest nieosiągalnym luksusem.

Próby burzawicznych ideologów i działaczy politycznych krajów kapitalistycznych usprawiedliwiają wyścig zbrojeń wymysłami o „radzieckim zagrożeniu” nie mają najmniejszego sensu. Najlepiej świadczy o tym liczby. Wydatki Związku Radzieckiego na cele obrony, zarówno w liczbach absolutnych jak i w stosunku procentowym do całego budżetu państwowego, zmniejszają się nieustannie. W 1971 roku wyniosły one 17,8 miliarda rubli (11 proc.), w 1974 roku — 17,6 mld (9,1 proc.), w 1976 roku — 17,4 mld (7,8 proc.) i w 1977 roku — 17,2 mld rubli (7,2 proc.). Ponadto ZSRR wysunął cały program redukcji i definitywnego zaprzestania wyścigu zbrojeń. ZSRR uważa, iż droga do prawdziwego bezpieczeństwa wiedzie poprzez rozbrojenie. W sprawozdaniu L. I. Breżniewa na uroczystej sesji poświęconej 60 rocznicy Rewolucji Październikowej wyraźnie wskazuje się na alternatywę stojącą dziś przed ludzkością: albo droga do zaufania i współpracy, albo droga do wzrostu wyścigu zbrojeń. Wybrać drugą drogę byłoby zbrodnią wobec ludzkości.

Odprężenie, rozbrojenie, pokojowe współistnienie, międzynarodowe bezpieczeństwo, zaufanie i współpraca — takie powinny być cele zagranicznej polityki państw, które pragną szczęścia swych narodów.

(C)

krytycznych głosów Sadat postanowił zerwać stosunki dyplomatyczne. Wszystko to razem ocenia się jako jego zdecydowanie zawarcie separatywnego pokoju z Izraelem. Spektakularne decyzje mają wykazzać, że z obranej drogi nie zamierza się wycofać.

Tymczasem w podróz do szczytu państw arabskich udał się sekretarz stanu — C. Vance z głównym zamiarem uspokojenia burzy, jaką wywołał Sadat. USA zdążyła sobie bowiem sprawę, że co najmniej bez udziału Syrii nie jest możliwe zawarcie pokoju na Bliskim Wschodzie.

W swoim nierozważnym i brzemiennej w skutki działaniu Sadat podjął jeszcze jedną decyzję — o zamknięciu sześciu konsulatów krajów socjalistycznych, w tej liczbie polskich. Zapretowaliśmy przeciwko temu stanowczo, traktując ten bezprecedensowy krok jako akt nieprzyjazny wobec naszego kraju, przynoszący dwustronnym stosunkom nieobliczalne szkody.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie była od lat wiele złożona. Teraz stopień skomplikowania jest jeszcze większy, a perspektywy zawarcia sprawiedliwego i trwałego pokoju jeszcze odleglejsze. Takie są właśnie następstwa polityki Sadata.

W. ŚLAWSKI

LISTY STANISŁAWY WYSOCKIEJ DO EMILA ZEGADŁOWICZA

Stanisława Wysocka (1877—1941) należy do tych wielkich artystów, którzy — co w sztuce jest zjawiskiem rzadkim — jeszcze za swego żywota doczekali się uznania u współczesnych.

Adam Grzymała-Siedlecki napisał o niej: „niewątpliwie po Modrzejewskiej największa u nas tragiczka”. A Teofil Trzcinski: „Wysocka, zjawisko na miarę światową, o niespotykanej dynamice heroicznego patosu w odtwarzaniu twardych, prostolinijnych bohaterów, mistrzyni posagowego gestu, o głosie jak dzwon, przejmującym grozą w momentach ekstazycznych”.

W tym roku przypadło stulecie urodzin artystyki.

Godna uwagi (jakoś bowiem cicho o tej rocznicy, nawet w pismach teatralnych) jest więc inicjatywa łódzkiego Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych”, które zainteresowało się nieznanymi dotąd listami Wysockiej do pisarza Emila Zegadłowicza. Listy te odnalazł poznański polonista Milan Kwiatkowski (nb. w piecu, przeznaczone na spalenie przez aktualnych użytkowników dworku Zegadłowicza w Gorzeniu).

Na podstawie tych listów oraz innych wypowiedzi Wysockiej na temat sztuki i teatru, a także fragmentów utworów Zegadłowicza, przygotował M. Kwiatkowski scenariusz widowiska pt. „Dwie nulości”. Widowisko to wystawił w reżyserii Jana Perza i z udziałem Anny Grzeszczak oraz Andrzeja Jędrzejewskiego Dom Środowisk Twórczych (premiera 23 XI 1977).

Odnalezione listy Stanisławy Wysockiej są godne pierwodruku w naszym tygodniku przede wszystkim dlatego, że przybliżają one łódzki epizod w karierze artystycznej Wysockiej: aktorki, reżysera, a okresowo również dyrektora teatrów, m. in. w latach 1932—1933 Teatru Miejskiego w Łodzi przy ul. Cegielińskiej.

Najbardziej interesujące są bowiem w listach Wysockiej właśnie jej obserwacje i uwagi na temat warunków życia i atmosfery Łodzi okresu Wielkiego Kryzysu. Wysocka reaguje szczególnie na społeczne przejawy i następstwa gospodarczego krachu i politycznego napięcia. Podkreśla też, iż kryzys nie pozostał bez wpływu na ciężką sytuację łódzkiego teatru.

Wiele w tych zwierzeniach pesymizmu, nastroju zniechęcenia, zwątpienia: Ich źródłem był rozdział między oczekiwaniami artystki, a trudną rzeczywistością przedwojennej Łodzi. Wszystko to powoduje wyjątkowo pesymistyczną ocenę spędzonego w Łodzi artystycznego sezonu.

Wypada też parę zdań poświęcić adresatowi listów. Wysocką z Zegadłowiczem łączyło coś więcej niż przyjaźń. Dzięki Wysockiej właśnie powstał Zegadłowicz teatr, stosunki w nim panujące. Wysocka inspirowała jego próby dramatyczne, zabiegała o wystawienie dramatów, misterii, jasełek (w listach tych pisze m. in. o swych staraniach wokół inscenizacji naturalistycznej tragedii pt. „Lampka oliwna”).

Solidaryzowała się również Wysocka z jego poglądami politycznymi, z jego krytyką istniejącego reżimu sanacyjnego. Bo też aktem odwagi było umożliwienie wystawienia w tym trudnym okresie w Łodzi — Leonowi Schillerowi sztuki „Kryzys Chin”, a Stefanowi Jaraczowi — „Kapitana z Koepenick”.

(T. S.)

Wilno, 19. IV. 1932
Jeszcze w sobotę wystawiam Lenina i potem zagram „Niespodziankę”. Tę okrutną sztuką pożegnaj Wilno — aby im nie pozostał w milej pamięci.

Warszawa, 22. V. 1932
Przerażeniem mnie ogarnia sytuacja teatralna — jest okropnie — co ja sama będę robić nie mam pojęcia. Przekrzywa się tak ciężkie czasy — nie światła nic.

Łódź, 1. VII. 1932
Umilowanie serdeczne — otrzymałam Twój list z 22-go, czyli z dnia wyjazdu z Warszawy — w międzyczasie byłam w Łodzi — podpisywać kontrakty. Dwa dni przegadane do zmęczenia z ludźmi, których egoizm zastanawia człowieka. Udało mi się już podpisać 11 kontraktów — resztę zostawiłam Krotkemu. Ale już tyle brzydoty mnie spotkało, że doprawdy jest to „włożenie zdrowej głowy pod ewangelie” jak słusznie powiedział do mnie aktor Stanisławski. A no zobaczmy! Widziałam w Łodzi Tuwima i jego matkę — bardzo miłi są oboje.

Warszawa, 3. VII. 1932
Zespół już prawie gotów. Najprzekrzejse jest to nachodzenie mnie przez rozmaitych aktorów i aktorki, którym nie pomóż nie mogę a współczuję głęboko — przytem cały dzień trzeba tkwić przy telefonie.

Lulany, proszę Cię też — pomyśl o Circe — to Ci może dać znów kilka tysięcy... Dziękuję Ci, że myślisz o czekającej mnie pracy i że jesteś ze mną. Kto wie do czego to doprowadzi i co z tego będzie.

Warszawa, 26. VII. 1932
Co do rękopisu Circe — przysłał go nieprzepracowany na maszynie — ja tu dam przepisać — tylko o ile można najwcześniej — gdyż chciałyby go przeczytać — a około 15-tego chcę wyjechać — bo muszę trochę pobyt na świeżym powietrzu.

Warszawa, 8. VIII. 1932
(W liście z 8 sierpnia Wysocka dziękuje Zegadłowiczowi za nadesłane tłumaczenie „Circe” oraz informuje pisarza o wyjeździe z córką Nulą do Zakopanego 14 sierpnia).

Zakopane, 19. VIII. 1932
Zostaniemy tu tylko do 10 września — małe trzy tygodnie odpoczynku — 14-go już muszę być w Łodzi. Co mnie tam czeka? Mam dużą treść — boć to duża odpowiedzialność. Przpracowałam te dwa miesiące od podpisania kontraktu solidnie — tyle sztuk przeczytanych — tyle listów napisanych — ale ja się ciągle boję — że to co mnie się podoba — nie podoba się publiczności — i na odwrot. Najprzykrzejszy jest kompromis, a dziś on jest potrzebny dla świńskiego stadka — zwłaszcza w Ło-

jest o tyle lepiej aniżeli było ongi — poprzestań na razie na tem co jest — nie słuchaj podszeptów — boję się że coś czyha na Ciebie — ludzie nie bez powodu gadają — nie chcę pisać — bo miałam jakiś czas wrazenie — że listy nie są pewne. Czy umyślnie tak działasz aby utrudnić sobie promieniowane z Gorzenia — trzeba być ostrożnym w wyborze otoczenia — już czas być mężem pełnym rozważli — dzieciństwo jest piękne — ale do czasu. Może uzurpuję sobie prawo powiedzenia Ci tego — ale kto Ci powie — sumienie muszę mieć czyste. Jutro wyjeżdżam do Łodzi — jeśli będziesz pisał — adresuj Teatr Miejski Cegielińska. Musiałam też stworzyć teatr kameralny — bojąc się jeszcze jednej konkurencji.

Wszystko najlepsze poselam
Om
Stacha
Łódź, 3 października 1932 r.

Umilowanie serdeczne — czekałam wciąż na wiadomość od Ciebie i przytem w 6 dni musiałam zrobić rolę Mademoiselle — która podobno, sądząc z entuzjastycznych krytyk b. mi się udało. W teatrze miałam kłopotów i nieprzyjemności co niemiara — z ambicjami ludzkimi — musiałam pisać kary itp. Niejaki aktor Szubert wraz ze swoją donną oddał mi rolę w sztuce która idzie w Kameralnym. „Rembrandt na sprzedaj”. Bał się grać przy Zniem. — przedtem dałam mu doskonałą rolę Leopolda umiłowany — rozłożył się jak długi — jednym słowem podle aktorskie intrygi. Mademoiselle chwyciła jak to mówią — więc trochę pociechy jest w tem — teraz przygotowuję Jima i Jilla(?) z Modzelewską — może i to chwyci. Po Grabowskiej Circe grała Jędrzejowska b. dobrze — biedna Grabosia rozchorowała się — jakieś porażenie nerwu w nodze — jest obecnie na kuracji w Poznaniu — nie wiem jak prędko będzie mogła jechać do Wilna. Do Krakowa nie pojedę (z czego osobiście się cieszę) podobno tak strasznie teatr idzie że nie mają pieniędzy na wystawienie Nocy. Tem lepiej — zarobek mizerny, a tutaj trzeba pilnować. Zresztą nie puszczę im tego płazem.

Cóż jeszcze? Uganiać jak Ty to nazywasz — niepokój o Nulę — w ogóle „to jest życie — takie życie” deszcz leje — straszna jest Łódź wtedy. Cieszę się że wyjadiesz ten tom — a jak z Górskim — czy robi się coś? Ja będę 12-go List. w Warszawie — może trzeba coś ponchnąć. Do Józefskiego napisałam. O Turandot wiem — hojny egzemplarz i nuty wysyłał Teatrowi Artystów. Podobno u nich niewiele — potrzebują 2 tysiące a mają po 700 zł — w ogóle poza Narodowym we wszystkich teatrach słabo. Zabawił mnie Twój nawias (nadzwyczajna jesteś w tym roku) bezosobowość jest zawsze nadzwyczajnością — bo się rzadko zdarza. Żyć obok siebie — jak ja to czynię — nie przychodzi z łatwością. Aby móc być żyjąc — po tamtej stronie — trzeba tak dużo przecierpieć — ale też nagrodą jest prawie jasnowidzwo.

Nie przerażaj się swoimi podrózkami — to Ci dobrze zrobi — trzeba się stykać z ludźmi — zwłaszcza jeżeli masz chęć zająć się teatrem. Biedny Smolik ma nieprzyjemność — opisują go w gazetach — kupił dla muzeum jakiegoś Wierusza Kowalskiego za 250 zł — a ten naturalnie okazał się falsyfikatem — podobno jest tam więcej falsyfikatów — zniechęcił się przeto do Łodzi i rad by z niej uciekać — tak to bywa.

Proszę Cię Lulanie — przyslij mi koniecznie te 3 obrazy wraz z niemieckim egzemplarzem. Już te są przepisane a ja chcę dać rozpisać rolę i zabrać się do roboty — miałabym straszny zawód gdybym z początkiem przyszłego tygodnia nie miała całosci. Napisał mi również kiedyś będzie można do Ciebie napisać — w jakich datach będziesz w Gorzeniu? Codziennie gram — kładę się późno spać — sypiam że — rano wstaje — ucisk na mózgu i czasem pragnienie zasnąć i nie obudzić się już więcej.

Mądrze Salomon powiedział — marności nad marności — i tyle. A biedni ludziska tak żyją jakby nigdy nie mieli umrzeć — biedactwa — tyle intrygują — tyle zapobiegają — ślepi są jak szczytami dopiero co wyległe.

Więc Lul. napisz mi o sobie z podróży — będąc w Krakowie dowiedz się o teatr — czy to prawda co mi mówią — że tak źle idzie. Zycząc aby Ci wszystko jak najprzyjemniej się ułożyło — pomów tam z kim potrzeba.

Najlepsze myśli Ci poselam
i Om najserdeczniejsze
Stacha

Łódź, Środa — 14 grudnia 1932 r.
U.S. Ostatni list Twój sprawił mi jeszcze jeden bolesny kłopot tembardziej że znajduję się obecnie w stosunkach materialnych dość opłakanych. Nie jest do pomyślenia abym się zwróciła z taką propozycją wypłaty tantjem do Krotkiego — patrząc jak ten człowiek się męczy — zapycha jedne dziury wekslowe robiąc

nowo długi. W Paźdz. wypłacił mi 80 proc. zrobiwszy przytem 12 tysięcy długu. W List. był trochę lepiej na Jimie wypłacono 100 proc. ale dług pozostał — a ja jeszcze nie wzięłam gaży za Listop.

W ogóle życie moje to jakaś piekielna udręka od rana do nocy — nie piszę bo nie lubię się skarżyć — a nic wesolego do napisania nie mam. W Łodzi nęda — fabryki stoją — na krańcach miasta ludzie — robotnicy żyją obierzynami z kartofli — po ulicy wiozą się masa bezrobotnych. Wczoraj 2 bomby podłożono pod województwo i magistrat. Żyć się nie chce patrzeć na to wszystko. Nigdzie (?) nędaż tak się nie widzi — jak tu w Łodzi w tym ośrodku przemysłowym. Co miałam wydać na tę tragedję Nuli — trzeba ją gdzieś wysłać obecnie. Tadeuszowi emeryturę zalegają — szarpie się też. Myślę że te spłaty obecnie można będzie jeszcze odłożyć — wobec tego nowego rozporządzenia kredytowego. Teraz jest właśnie okres najstraszniejszy — Święta — w teatrach frekwencja słabnie. Może po Nowym Roku będzie łatwiej. Chyba nie wątpisz jak bardzo chciałabym dla Ciebie to zrobić ale nie jestem w możności obecnie. Jakże to wszystko okropnie! Z sercem jestem bardzo źle — wyglądam trzy czwarte do śmierci — I tak mi już wszystko zubożniało — żyję aby żyć — jakiś koszmarny ten rok dla mnie. Dlaczego nie pomówił z Kozik. w Krakowie — trzeba go było przycisnąć.

Będę na Święta w Warszawie pewno 2 dni wszystkiego — mam w Styczniu być w Krakowie z Mademoiselle — ale czy zdołam połączyć to wszystko — i tak przez moje wyjazdy do Warszawy dużo mi się tu napsuło. Chcę Verdun dać w Styczniu — zawiozę do Krakowa egzemplarz. Bardzo Cię przepraszam za zawód — ale myślałam że inna konjunktura będzie tu w Łodzi. Ja mam szczęście zawsze na najgorsze muszę trafić.

Dziękuję za słowa współczucia
i poselam
Om najserdeczniejsze
Stacha

Łódź, 16 maja 1933 r.
Umilowanie — aby już wszystko było do maści — przypłatała mi się jakaś uporzeczna gorączka połączona ze stałą zimnicą. Twierdzą że ten ogród vis a vis jest malaryczny a ja na to jestem wrażliwa. Rano zwlekałam na próbie — a po powrocie kładę się do łóżka. Moje imieniny w tym roku były wyjątkowo nieprzyjemne — choć było dużo kwiatów i Nula była — ale dobry ludkowie — chamy aktorskie — postarali się mi zatruć je. Tak mój drogi — moja teoria pluskwowa była lepsza — bo przynajmniej nie przyniosła mi rozczarowania — a raczej wyrozumiałość dla tych nędznych żyjątek. Trudna jest sytuacja każdego twórcy — w obecnym stanie szaleństwa ogarniającego całą ludzkosć — wzywam się w nią, jest doprawdy rozpaczliwa. A znów ucieczka od tego szaleństwa — grozi osamotnieniem i egocentryzmem — który jest wrogiem wszelkiej twórczości. Zresztą — może niedługo zawiśnie nad światem zniszczenie ogólne — po cóż zatem trapić się twórczością — wetacynne życie z dnia na dzień — aby dalej — jest dziś udziałem wartościowych ludzi — a kto może to czyni w przyrodzie — ten jest wybranym szczęśliwiec. Wszystko jest tylko chwilowym złudzeniem — zdawało mi się — że osiągnęłam jakąś drogę — po której już krocząc będę do końca — złudzenie — wszystko się gdzieś rozwiało — czarna zasłona przede mną — tępoła duchowa — nawet nie mogę książki włożyć do ręki — bo mi się wszystkie wydają nieistotne — fałszywe i kłamliwe. O zgrozo — może najbardziej zaczynać rozumieć wielkiego figlarza Shawa — ten ma właściwie ustosunkowanie pluskwiek ziemskich. Potrzeba mi gwałtownie jakiegoś ratunku — może nim będzie opuszczenie Łodzi — tego najwstrętniejszego miasta pod słońcem — w zaduchu którego i dusze stają się smrodliwe. Uciekaliśmy zaraz — już — ale reszka ambicji każe mi wytrwać do możliwego końca — potem i ja wytarzam się na tonie przyrody — o ile naturalnie nie będzie do tego czasu jakiegoś wielkiego zamieszania w świecie.

Strasznie będę chciała przyjechać na Zielone Święta do Gorzenia — choć tam pewnie będzie moc ludzi i nie będę mogła nawet porozmawiać z Tobą — Czy u Was też tak zimno i deszczowo jak tu? coś okropnego — tak człowiek pragnie słońca i ciepła — a tu jesień zupełna. Dla mnie jest to kłeska materialna — bo myślałam już — aby przy końcu maja otworzyć letni teatr który jeszcze coś w lecie przynosi. Poza tem dziwne jakieś wieści chodzą między ludem — podobno rabini zabronili wyjeżdżać z miast Żydom nawet na letniska — twierdzą, że ma coś być — dziwna fala antysemityzmu zaczyna iść przez świat. — w Rosji też — ułożono tam nawet nową miedzynarodówkę. Paradoksalny: Hitler — który sam pochodzi z Żydów roz-

począł tępienie żydostwa — dziwny naród — wydaje z siebie wielkich proroków i własnych niszczycieli. Dziwna epoka którą przeżywamy — wszystko się w niej wmlęszcza — Piękno najwyższego bohaterstwa i ohyda zbrodni zbroczonych — poświęcenie i megalomanja dochodząca do negacji Boga — przeto widomemi stają się znaki — że zbliża się koniec obecnej cywilizacji — rozpadnie się w gruzy — jak to się już stało z tyłami cywilizacji przed nią. Zakreślone są granice — nigdy ich człowiek — nie przekroczy — śmieszny jest w swej pyszałkowatości obecny człowiek — megaloman — materialista. Nie miejsce i nie czas na dawanie religii — innych jak hasła pracy — walenie taranem we wszelkie zdobycze ducha i rozumu — burzami i niszczeniem ich — bo przeleć wielką pracą — którą podjęła zasieplona ludzkość. Cóż zatem pozostaje? Zwinąć się w kłębek i zatopić w niebycie i niepamięci — wegetacja zaonego bydlatka skubającego trawę — z tą tylko różnicą — że bydlatko nie wie — że tam gdzie czeka na nie nóż rzecznika — a człowiek nie może się nijak wyzbyc okruszyny świadomości — że taran opadnie i rozmiładzzy główkę — przeto męczy się i męczyć będzie do końca. Jakże beznadziejnie smutno jest na tym globie. Słońce nie grzeje — bez sensu. Twierdzi Jeans(?) że ludzkość w stadium 3-dniowego niemowlęcia — o jakże długie są dni w wieczności w którymś dniu była ludzkość w średniowieczu — gdy wyczyniała swoje auto da fe — widocznie te długie dni nie przynoszą żadnej zmiany w rozwoju niemowlęcia. Czyżby podstawa bytu we wszechświecie było — krecenie się obłądnie w kółko — wszystko się kręci — kręci dookoła swego ogona i ogona innych — a nad tem wszystkim Wielki Rozum który może się śmieje sarkastycznie — patrząc na ten obłądny tańiec. Tak — przeto nie pisuję — bo to przeszkadza zwinąć się w kłębek — po co — bodaj na skrawek papieru przenosić grzący myśli — lepiej dlawie je i węgłować dopóki się da. Myślą przebywam często przy Tobie — przemyslałam wszystkie te lata — ze wszystkich stron — dano mi to mądrość — ale nie powiem żeby mi z nią było lepiej — może tylko bardziej to tworzy. Przesłałam Ci najlepsze myśli na jakie mnie stać — niech Cię góry zastąpią przed światem i jego nikczemnościami.

Om Stacha
Warszawa, niedziela 31 lipca 1939 r. (?)
Um — dziś Twój dzień — myślą jestem w Gorzeniu i najlepsze życzenia śię. Proszę się nie dziwić że nie piszę — od czterech dni jestem w Warszawie — przeżyłam przedwznowienie rzeczy — które mnie i tu absorbuja. Nastąpił krach w teatrze — okazało się że Krotkie ładne gospodarstwo prowadził — długi wszędzie — okazało się ich z podatkami różnymi około 80 tysięcy. Nie można z niego było wydobyć prawdy — dopiero pojechałam do Warsz. i przywozłam Śliwickiego — który jako prezes powydobywał na wierzch wszystko. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałam — mężczyzna — który potrafił położyć się do łóżka — urządzić próbną samobójstwo i jęczać jak kobieta rodzająca — oto była reakcja tego slabeusza. Książki za 3 lata okazały się niezamknięte. W ogóle nie wiedział jaki jest istotny stan interesów — bo wszystkie rachunki pakował do tecki — a zajmował się tylko rozdziałem tego co było w kasie. Sezon tegoroczny był nawet lepszy od zeszłego — tyle tylko że w zeszłym roku podratowała ich „Banda” bo krach byby nastąpił już wówczas — Prawda — źle jest wszędzie — więc i tu można to było jakoś z godnością przeprowadzić — ale taki osobnik może napelnąć wstrętem — do całego rodzaju męskiego — obrzydliwość. Teraz latam po ministerstwach — w Łodzi po wojewodach i komisarzach — podobno jakimś pomoc przyznali — musi ktoś jechać z ramienia Związku aby to odebrać. Doprawdy jestem tak zrażona do teatru — że chyba trudno mi będzie zacząć coś robić — rada jestem że w domu nikogo nie ma — muszę jakos przyjąć do siebie po tem wszystkim. Trzeba wierzyć instynktowi — nie na darmo odpychało mnie od Łodzi — mówiłam: „że Bóg mnie skarał na rok katę!”; nie omyliłam się. No ale mniejsza o to. Pozwoliłam sobie przesłać materiał i tasienkę do obicia garnituru — niechęć już wszystko będzie w porządku. Jak jest ze sprawami na przyszłość. Czy Kato-wice załatwione? Proszę o słów kilka o sobie — a może pocieszających — bo tak już źle jest ze wszystkim. Straszny rok przeżyłam — pod każdym względem. Wstrząsnęta też mną śmierć Drabika i Ordon tak przedko poszli — czemże jest to życie — chwilka — aby jeszcze miało być za-trute takimi obrzydliwościami.
Najlepsze myśli poselam
Om Stacha

Jako jeden z kierunków swojego działania Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przyjęło inicjowanie i rozwijanie łódzkiego pamiętnikarstwa. Gromadząc w Muzeum Miasta wspomnienia łódzian na określone tematy, pragniemy „ocalić od zapomnienia” to, co nie powinno być zapomniane, w przekonaniu, że zapis nauceńskich świadków będzie na pewno użytecznym źródłem dla łódzkich dziejopisów, socjologów, historyków kultury itp. Pierwszy konkurs ogłoszony w ubiegłym roku potraktowaliśmy jako próbna sondę. Dlatego nie precyzowaliśmy ściśle tematu ani kresu. Prosililiśmy jedynie, by autorzy opisali to, co się działo w ich najbliższym otoczeniu przed wybuchem II wojny światowej, podczas hitlerowskiej okupacji, względnie tuż po wyzwoleniu.
Na konkurs wpłynęło 36 prac. Ich tematyka obracała się głównie wokół przeżyć autorów, ich pracy, obrachków obyczajowych i zdarzeń, historii ulicy, domu. Niektóre są bardzo autentyczne, świadczą o spostrzegawczości ich autorów nierzadko — o talencie literackim.
To wszystko sprawia, że postanowiliśmy zbierania wspomnień łódzkich kontynuować. Z pomocą przyszli nam pracownicy nauki Uniwersytetu Łódzkiego, głównie socjologowie pod przewodnictwem dyrektora Instytutu Socjologii p. prof. dr Kulpińskiej. Nadesłane wspomnienia zostaną skatalogowane, zrecenzowane i złożone w Muzeum Historii Miasta Łodzi. W ten sposób uchroni się je od zniszczenia czy zagubienia, ocalając cząstkę przeszłości miasta i jego mieszkańców.

OD REDAKCJI

Rozpoczynamy publikację fragmentów „Wspomnień drukarza”, napisanych przez Leona Majewskiego, jednego z najstarszych mistrzów sztuki drukarskiej w Polsce. Pamiętnik został wyróżniony w konkursie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. I nie dziwnego. We wspomnieniach tych nie znajduje czytelnik literackich opisów, wyszukanych popisów stylistycznych, znajduje jednak prawdziwy „kawał życia” wypełnionego trudną pracą. Los jednostkowy spłata się w tym pamiętniku z szerszymi dziejami ludzi pracy, ich walką o sprawiedliwość społeczną na odcinku mało stosunkowo znanym. Niewątpliwa autentyczność i szcerość wypowiedzi, surowa i właśnie dlatego przekonująca forma pamiętnika, podnoszą z pewnością walory poznawcze „Wspomnień drukarza”.

W dniu 28 czerwca 1914 roku ukazał się na widowni bośniacki drukarz, Gawryło Princip, który dokonał zamachu w Sarajewie, zabijając następcę tronu austriackiego, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę. Na skutek tego zabójstwa Austria wypowiedziała wojnę Serbii, a w ślad za tym wybuchła I wojna światowa. Mimo woli nasausa się pytanie: Kto to jest drukarz?... Możemy bez wielkiej przesady żartować twierdzenie, że drukarz to żołnierz rewolucji kulturalnej, społecznej, postępu — to aktywny uczestnik walk wyzwoleniczych narodów,fluż to bezimiennych bohaterów-drukarzy ginących na posterunku przy kasie lub maszynie-bostonce w czasie ucisku carskiego czy hitlerowskiego? Ile odezw i czasopism nielegalnych ukazywało się podczas okupacji hitlerowskiej, podtrzymujących ducha uziemionego naszego narodu? Drukarz-żołnierz — nie z poboru — ale z głębokiego przeświadczenia, że służy wielkiej, słusznej sprawie. Trudno sobie wyobrazić, aby jakakolwiek rewolucja mogła się dokonać bez udziału drukarzy, bo słowo drukowane jest równie potężną bronią, jak żołgi czy armaty.

27 listopada 1917 roku zawarłem związek małżeński z Marią Racunińską. Moje zaślubiny zbiegły się z Rewolucją Październikową. Odtąd razem z nią będziemy obchodzić jubi-leusze.

Do współpracy z nami zaczęli garnąć się ludowcy, zwłaszcza z „Wyzwolenia”. Dużo zaangażowania wykazali: Tomasz Kazimierzowicz z Chaśna, Kret z Łaguzewa, Kurczak z Otolic, i wielu innych. Przyjeżdżali także z Warszawy: Stanisław Thugutt („Wyzwolenie”), Tadeusz Hołówo, Śledziński, Moczulski (PPS) i inni. Naświetlali sytuację polityczną i agitowali do wstępowania w szeregi PPS. I tak zostałem członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej w Łowiczu.

Wróciłem do drukarni i zabrałem się do pracy w PPS. Przyjechał do mnie — zresztą nie pierwszy raz — student Uniwersytetu Warszawskiego, tow. Stanisław Dubois, który był w Warszawie prezesem organizacji młodzieżowej ZPMS (Związek Polskiej Młodzieży Socjalistycznej), w celu założenia koła w Łowiczu. Zorganizowaliśmy więc koło w oparciu o uczniów starszych klas gimnazjum, zostałem prezesem (z wyboru). Przewodniczyliśmy prace samokształceniowe, studiując ekonomię polityczną, klasyków: Marksa, Engelsa, Bebla, Kautskiego i innych. Dalo to nam dużo wyrobienia społeczno-politycznego i osobistego zadowolenia. Przyjechał również tow. Moczulski, który patronował przy zorganizowaniu Spółdzielni Spożywców (Centrala na ul. Wolskiej w Warszawie). Zostałem prezesem Rady Nadzorczej.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

Wreszcie wybory do Sejmu Ustawodawczego i Rady Miejskiej w 1919 roku. W kampanii wyborczej brał udział w Łowiczu, urządzając wiece i odczyty: Hołówo, Dubois, Barlicki, Śledziński, ten ostatni kandydował do Sejmu z ramienia PPS. Ja nie miałem 24 lat, nie mogłem więc kandydować, za to byłem mężem kandydanta PPS. Jeździłem do Warszawy na odprawy do KW na ul. Warecką, na których przewodniczył tow. Feiks Perł. Zdawałem sprawozdania z nastrojów przedwyborczych społeczeństwa łowickiego.

Tow. Dubois często mnie odwiedzał w mieszkaniu celem konsultacji o przebiegu pracy w ZPMS. W tym czasie prenumerowałem tygodnik „Trybunę”, wydawaną przez tow. Hołówo. Artykuły jego wprost oszalały, toteż czytałem „Trybunę”, „od deski do deski”. Mieszkał u mnie na tzw. stacji ucheń VI klasy gimnazjum — syn chłopca z Wiskienicy, już wyrosnięty młodzieniec, zmobilizowany na wojnę, Józef Drzewiecki. „Zaraził” się ode mnie poglądami politycznymi i tak jak ja pochłaniał artykuły w „Trybunie”. Pod koniec kwietnia 1921 roku przychodził ze szkoły z przynębną miną, oświadczył, że wyrzuciono go ze szkoły. Pytałem o powód, odpowiadał, że w czasie paury, gdy wszyscy uczniowie wyszli na dziedziniec, on został w klasie, wyjął „Trybunę” i zaczął czytać. Przytłapał go na tym ksiądz-katecheta — Zawadzki. Taki skandal... nasz uczeń studiując lekturę bolszewicką Zaprowadził go przed oblicze pana dyrektora Olszewskiego. Ten, gdy tylko dowiedział się o „przetknięcie” delikwenta, orzekł krótko: wyrzucić ze szkoły. Byłem tym wstrząśnięty i oburzony i na razie nie wiedziałem co czynić. Nie mogłem przecież odebrać chłopca do domu na wieś, bo właściwie byłem odpowiedzialny za jego wychowanie. Nie namyślałem się długo, zabrałem go na dworzec kolejowy i jedziemy do Warszawy. Było akurat święto klasy robotniczej, 1 Maja. Udajemy się na ul. Złotą, do mieszkania tow. Dubois. Po zreferowaniu mu sprawy, zabieram nas na ul. Warecką do KW PPS. Referujemy o zajęciu posłostwa Śledzińskiemu, który usłyszałszy o co chodzi, rzekł: W następnym pokoju siedzi tow. Hołówo, idźcie więc do niego, skoro wydaje taką gazetę, niech się tym zajmie. Wydawało nam się, że Hołówo krew zaleje, gdy usłyszał o co chodzi. Uderzył pięścią w stół, krzyząc: „Ja ich nauczę, jestem kawalerem Orderu Wirtuti Militari, wydaję pismo legalne w Polsce! Założę interpelację w Sejmie. Jedźcie towarzysze, do domu, oni muszą was przeprosić”. Dostaliśmy przepustkę na wiec 1-Majowy w Koloseum i brałszy udział w pochodzie. Po pochodzie udaliśmy się do Koloseum na wiec, podczas którego przemawiał również Norbert Barlicki. Uradowani i podbudowani wrażeniami, wróciłszy wieczorem do domu. Po kilku dniach przychodził woźny prosić, aby pan Drzewiecki pofatygował się do szkoły. Gdy stanął przed obliczem pana dyrektora, ten złapał się za głowę mówiąc: „Coś ty nam narobił! Kto cię tego nauczył?” Polecił mi zająć miejsce w klasie. Okazało się, że zjechała specjalna komisja z Ministerstwa Oświaty i panu dyrektora zmiały porządnie głowę. W następnym numerze „Trybuny” Hołówo dobrał się do p. dyrektora, stwierdzając m.in.: „...Muly mu poganiać, a nie dyrektorem gimnazjum być.” Chłopiec został zwycięzczą ku uciesze kolegów. Pan Olszewski opuścił stanowisko, a na jego miejsce przybył nowy dyrektor Sianożęcki. Niedługo jednak Drzewiecki cieszył się triumfem. Z końcem roku szkolnego ze-smuszono się i nie przepuszczono go do następnej klasy. Pojechał więc do Skierniewic i tam zdobył maturę. Dostał posadę w ministerstwie w Warszawie, a po kilku latach złożył mi wizytę w Łodzi. Bardzo czułe było to spotkanie, a zarazem żenujące dla mnie. Po wielu latach, Józef, wykształcony, dojrzawy człowiek, mimo

LEON MAJEWSKI

Wspomnienia drukarza

mojego protestu, pocałował mnie w rękę, nazywając ojcem; dziękował z całego serca za opiekę i wskazanie mu słusznej drogi życia. Niestety, potem zachorował na gruźlicę, a po kilku latach zmarł.

Tkwiełem po uszy w robocie społeczno-politycznej. Pewnego razu, w czasie przerwy obiadowej udałem się na wiec zorganizowany przez „Wyzwolenie”, na którym bardzo interesująco przemawiał sam przywódca stronnictwa — Stanisław Thugutt Sala teatru „Eos” była tak nabita, że chyba nie można było wbiec przysięwowej szpilki. Wiec się przedłużał Zafascynowany przemówieniami zapomniałem o tym, że pora obiadowa dawno minęła, a ja, choć bym chciał, nie mogłem wyostać się ze środka sali. Z dwugodzinnym opóźnieniem wracam do drukarni. Mój szef w zdenerwowaniu przemierza salę zecerał w tę stronę i z powrotem. Gdy mnie zobaczył, mówi: — Tyle jest pracy, a pan się spóźnia!

— Byłem na wiecu i nie mogłem wyostać się z sali.

— Jak to? Na wiec w czasie pracy?

— A tak — odpowiedziałem także zdenerwowany. — Jestem obywatel-em dopiero co odzyskanej wolności Polski i wszystko to, co jej dotyczy nie jest mi obce. — Wreszcie się udobruchał, a ja stanąłem do kaszy.

Karol Rybacki posiadał oprócz drukarni dużą księgarnię na froncie. Przed wojną drukarze zarabiali u niego 75—80 rubli miesięcznie. Dla porównania — referent w starostwie zarabiał 21 rubli miesięcznie.

Po wojnie fachowcy porozjeżdżali się, a właściciel egzystencję zakładu oparł na uczniach. Zostałem więc sam i cała gromada uczniów oraz maszynista. Owcześnie waluta obiegowa — marka polska — dewalutowała się z każdym dniem tak, że Rybacki nie mógł nadążyć z wyrównywaniem poborów pracowników, którym zarokni nie starczyła na utrzymanie. Obarczony rodziną (żona, dwoje dzieci, teściowa i ja) głodowaliśmy. Żeby się ratować, wziąłem pod swoją rękę żonę i wyuczyłem na składacza. Ale i to niewiele pomogło. Zwróciłem się przeto do szefa o znaczną podwyżkę dla wszystkich. Gdy odmówił, zagroziłem, że będziemy strajkować. Myślałem, że dostanie apopleksji. Coś takiego! Pierwszy raz go taka groźba zaskoczyła. Gdy mu uzasadniłem żądanie drożyzną i dewaluacją, zgodził się wreszcie na podwyżkę mnie i żonie o 100 procent. Myślał, że maie kupi. Odpowiedziałem mu:

— Dewaluacja marki wszystkim do-kuca i dlatego wszyscy muszą otrzymać te 100 procent.

Pierwsze zagrożenie strajkiem za-triumfowało. Ale czy na długo? 9 lipca 1921 roku szef wpada do zecerni z krzykiem:

— Taki ważny artykuł do „Łowiczczanina” nie został wlamany. Pan przecież jest odpowiedzialny za to!

Przypomniałem sobie, że artykuł ten dałem chłopcu do składania. Ten zaś rękopis złożył za regał i kilka dni nie przyszedł do pracy. Odpowiedziałem wtedy:

— Jeżeli pan pędzi zakład chłopcami, którzy nie mają poczucia obowiązku, to dlaczego ja mam za nich odpowiadać? To raz, a po wtóre czy otrzymałem od pana spis kolejności artykułów do lamania?

Od słowa do słowa, pokłóciłłmy się. Oświadczyłem wtedy, że odchodzę i to od zaraz. Ostudziło go to trochę. Zażądał, że muszę odrobieć dwa tygodnie. Nie zgodziłem się na to, miałem bowiem już dosyć borykania się z chłopcami i drożyzną. Gdy się uspokoiłłmy, wytłumaczyłem, że w tych warunkach nie widzę żadnej przyszłości i muszę wyjechać do większego miasta. Rozstaliśmy się pogodzeni. Prosił, aby chociaż żona została. Na razie zgodziłem się, bo przecież musiałem najpierw ustabilizować się.

W październiku 1921 roku przyjechaliśmy do Łodzi. Tu secerów było

brak. Zgłosiłem się do związku i zostałem skierowany do „Kuria Łódzkiego”. Byłem bardzo uradowany z otrzymanej pracy. Zarobki opierały się o układ. Marka na skutek dewaluacji spadała zastrasząco. Doszłem do końca do tego, że zarobki tygodniowe liczyły się w milionach marek. Gdy przynosiłem do domu tygodniówkę pod pachą, żona musiała się „szybko uwić”, aby pieniądze się pozbyły, zakupywała cukier, mąkę, kaszę, groch i co się tylko dało, gdyż za tydzień ceny na te artykuły skakały o 100 i więcej procent. Doszło do tego, że pudeleczko zapalek kosztowało 18.000 marek. Dopiero w kwietniu 1924 roku ówczesny minister skarbu Władysław Grabski, przeprowadził reformę waluty, zamieniając markę na złotego, opartego na franku szwajcarskim. Najbardziej jednak cieszył mnie fakt należenia do Klasowego Związku Drukarzy. Toteż oddałem się całym sercem pracy związkowej. W 1925 roku zostałem wybrany do zarządu, a w ogóle do 1939 roku pa-stowałem mandat w siedmiu kadencjach, biorąc udział w wielu koni-skach strajkowych i konferencjach cennikowych. Szczyciłem się tym, że w Łodzi byliśmy jedynym Klasowym Związkiem Drukarzy. Rozbitkich związków chadeckich i innych w Łodzi nie było.

Nasza składka związkowa składała się z dwóch części: centralna plus lokalna, razem 7 zł tygodniowo, co stanowiło mniej więcej 10 procent od zarobku. W składce tej mieściły się fundusze na wypadek bezrobocia, strajku, chorobowe i losowe. Byliśmy jedynym związkiem, który gromadził fundusze ubezpieczeniowe, co z uznaniem podkreślali towarzysze z PPS. Niezależnie od składki, gdy na innym terenie wybuchł strajk, np. w Warszawie, Poznaniu, Łwowie lub za granicą, opodatkowaliśmy się, wykazując solidarność międzynarodową.

W „Kurierze Łódzkim” pracowałem 10 lat. Początkowo składało się ręcznie, linotypów jeszcze nie było. Toteż składaczy było zatrudnionych kilkudziesięciu. Obowiązywał tzw. nakład, kto złożył wcześniej, szedł do domu. Praca na trzy zmiany. Za noc doatek do zarobków 50 procent, z niedzielą na poniedziałek — 100 proc. Zmienialiśmy się co trzech tydzień. Trzeba tu niestety stwierdzić, że koledyz niejednokrotnie sami psuli to, co było zdobyczą związku. Przy ogłoszeniu pracował kolega Franciszek S. Ponieważ mieszkał blisko, przychodził do pracy zamiast w nocy, po południu, potem szedł na kolację, a o godzinie 9 wieczorem wracał i pracował do rana, to znaczy, aż skończył ogłoszenia. Liczono mu za to pół dnia i pół nocy, a więc 25 proc.

Pewnego razu majster zakomunikował mi, że wyznacza mnie do ogłoszeń, a inny kolega przychodził na moje miejsce do solutu (bo jakie to — stary kolega tak się męczy, a tu przybył młody „przybłęda” z Łowicza i ma taką lekką pracę. Nie chciałem się na to zgodzić. Wtedy dostaliśmy ultimatum: albo się zgodzę, albo zostaną wypowiedziane. Co robić? Byłem jedynym żywicielem rodziny składającej się z 6 osób: żona, troje dzieci, teściowa i ja. Nie mogłem więc pozwolić sobie na to, aby nie pracować. Przeszedłem do działu ogłoszeń. Ponieważ mieszkałem daleko na Bałutach, przychodziłem do pracy o godzinie 7 wieczorem i bez przerwy pracowałem do 7—8 rano, tak długo, aż zdążyłem złożyć i złożyć wszystkie ogłoszenia: zmiennika nie miałem, musiałem więc stałe pracować siedem nocy. Przyjęto ucznia i postawiono go do rozbiórki. Fragmentował wiec w dzień kaszy a ja musiałem tworzyć z tego inseraty. Wprawdzie uznano, że teraz daleko lądniejsze są ogłoszenia, ale dla mnie była to mała pociecha. Rano przychodziłem do domu wyczerpany do ostatnich granic, kładłem się do łóżka, żeby wypocząć po pracy. Była to dla mnie po prostu makabra.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

DOBRY DZIEŃ

Po felietonie „Zły dzień” niektórzy wnikliwi czytelnicy moich tekstów uczynili mi zarzut, że czepiam się telewizji niegłusznie, bowiem ma ona także i swoje dobre dni. Niewątpliwie. Zresztą — oświadczyli mi moi czytelnicy — telewizja jest w porządku, to tylko ludzie pracujący w telewizji czasem coś sknocą.

Jest to prawda nie podlegająca dyskusji. Jak wiadomo, mamy znakomicie funkcjonujące usługi, tylko ludzie pracujący w usługach jakoś nie bardzo mogą sobie dać radę z usługami. Podobnie jest z pocztą i kolejnictwem. Wyraz takimi przekonaniami dała niedawno na łamach „Życia Warszawy” pewna stołeczna publicystka, której zdaniem przyczyną zła „należy szukać w mrokach duszy ludzkiej” — jak to określił w polemicznym felietonie Jacek Maziarzski z „Polityki”.

Maziarzski pisze, że owa publicystka „uniwieśnia społeczno-ekonomiczne mechanizmy

przyczynowe i sprowadza wszystko do zła albo dobrej woli” (...). Zawracanie głów czytelników podobnymi teoriami zasługuje na publiczny sprzeciw. Nie chodzi już nawet o to, że się odwraca materialistyczną analizę rzeczywistości i zastępuje ją gadaniną o dobrej i złej woli. Chodzi głównie o to, że w ten sposób „wstawia się ludziom kit” i dokumentnie mać w głowach.

Więc pozostaliśmy przy ludziach.

Telewizyjny „Pegaz” realizowany przez ekipę „młodych zdolnych”, a przede wszystkim nonszalanckich ludzi wymienił ostatnio Krzysztofa T. Toeplitza na doc. Trybusiewicza. W zasadzie i to człowiek i to... Nawet nazwiska zaczynają się na tę samą literę. A jednak... Kiedy mówi Toeplitz, to widać, że stara się nam przekazać jakąś myśl. Kiedy mówi Trybusiewicz — docent, to widać, że stara się ładnie wygłaszać. Jest to różnica może niewielka,

gdy rzecz rozpatrywać z punktu widzenia fonii, bo Toeplitz, nie starając się o wygład i tak wygląda niezłe — ale jest to różnica zasadnicza z punktu widzenia treści. Doc. Trybusiewicz zaprzęgnięty myślą o tym, by ładnie mówić, zapomina o tym, by telewidzom coś istotnego powiedzieć.

Ludzie realizujący „Pegaz” są na pewno zdolni, ale mają tę wadę (a może zaletę?), że wymyślają do swoich programów możliwie marginesowe problemy, że myślą Toeplitza z Hamiltonem, „Granicę” z „Romansem Teresy Hennert”. Różnice niewielkie, bo jak wiadomo i Toeplitz i Hamilton pisują w „Kulturze” felietony, a obie powieści napisała ta sama Zofia Nałkowska. A jednak... Ostatnio dowiedzieliśmy się, że reporterka „Pegaza” koniecznie chciała się skontaktować z pisarzem Tadeuszem Brzozą, zmarłym... siedem lat temu, o czym widział nawet uczniowie szkół średnich.

Widać potrzebny jest ludziom (nawet zdolnym) jakiś komputer albo dział informacyjno-przedmiotowy. Popularny magazyn (przepraszam człowieka w popularnym magazynie) pisze o wybitnym naukowcu per „zmarły niedawno”. A tu dla odmiany naukowiec żyje i nawet był ostatnio odznaczony.

Co się więc z tymi zdolnymi ludźmi dzieje? Jedni chcą rozmawiać ze zmarłymi — inni żywych pchają do grobu.

Piszę to wszystko w przedświątecznym balaganie, w czasie przeprowadzki redakcji „Odgłosów” do nowego lokalu z gmachu prasy przy ulicy Piotrkowskiej na róg Wólczańskiej i Mickiewicza. Był to wyjątkowo dobry dzień dla telewizji — zdażyłem akurat na „Powiększenie” Antonioniego i trzeba powiedzieć, że udało się ten program Jackowi Fuxkiewiczowi — szefowi telewizyjnego kina. Był to naprawdę dobry dzień TV.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CIĘŻAR DOWODU

Panowie z teczkami w ręku od wielu już lat stanowią specyfikę naszego krajobrazu. Pełno ich na ulicach, w tramwajach, na dworcach, w pocągach i w lokalach zbiorowego żywienia. Nie zawsze są to urzędnicy „na delegacji”, a teczka nie zawsze kryje pizamę, maszynkę do golienia, ręcznik i akta, których w zasadzie nie wolno wynosić poza próg rodzimej instytucji. Teczka stała się w ogóle atrybutem mężczyzny pracującego, bez względu na zawód wyuczony i wykonywany. Najczęściej mieści się w niej śniadanie i gazeta, a kiedy śniadanie zostanie zjedzone i gazeta przeczytana — trzyma się puściutką teczkę, a raczej teczkę jak tonący brzytwy. Na pewien czas pokazały się masowo prostopadłościennie ni to nesery, ni futerały z czarnej skóry, z blyszczącymi metalowymi narożnikami. Pokazały się jako insygnia menedżerów przemysłu i handlu — coś to był za widok: narada w resorcie, na którą przyjeżdża z różnych stron kraju dwa tuziny lyszch facetów z identycznymi neserami! Niestety, zwyczajni kierownicy, ba — nawet referenci zmalpowali szybko futerałową modę i symbol się zdevaluował. Teczka zwyciężyła, najlepiej skórzana,

spięta dodatkowym pasem, ciężka jak grzech śmiertelny, wykrzywająca łopatkę swego pana, ale poza tym wierna mu jak pies i wszędzie gdzie on — obecna.

Co innego jednak rzecz do niesienia w ręku, a co innego konieczność posiadania przez każdego obywatela, w każdej chwili życia, mnóstwa przedmiotów, które trzeba jakoś na sobie poumieścić. Teczki nie uważa się za właściwe miejsce do dźwigania tych niezbędnych przedmiotów. A nuż zostawie gdzieś teczkę w szatni, a tuż za drzwiami będzie się musiał czymś tam legitymować? A za drugimi drzwiami znów — ale już inną legitymacją?

Właśnie: legitymację trzeba mieć zawsze przy sobie i to tak dosłownie, jak własną skórę. Pięć, dziesięć, dwadzieścia legitymacji, a każda z nich po kolejnej wymianie i aktualizacji staje się większa i grubsza. Najpierw oczywiście dowód osobisty, bez którego człowiek nie istnieje. Nie ma nazwiska i adresu. Nie zamelduje się w hotelu, nie wypożyczy książki, nie zapłaci mandatu za krzywe przejście przez jezdnię. Dowód jednak nie wystarcza, żeby wejść do włas-

nego zakładu pracy: trzeba okazać legitymację służbową. Portier zna nas dobrze z twarzy i z nazwiska, ale kazali mu żądać więc żąda. Można rzec — człowiek go nie obchodzi. Do zakładu wpuszcza się legitymacją, nie ludzi.

W pociągu musisz okazać osobną legitymację inwalidzką lub emerytalną, żeby uprawomocnić zniżkowy bilet. Co do zniżki w tramwaju lub w autobusie miejskim — niezbędna jest jeszcze inna, specjalna „migawka” — naturalnie ze zdjęciem, choćby było sprzed pół wieku. Żeby kupić dobry papier, a właśnie przechodząc obok sklepu widzimy że jest w sprzedaży — trzeba okazać dowód przynależności do związku plastyków. Dowód taki — jeśli jesteś plastykiem — noś zawsze przy sobie, bo kto wie, kiedy „rzucą na rynek” bristol lub niemieckie pędzelki?

Możesz chodząc po mieście ulec jakiejś słabości lub małowypadkowi, lepiej więc noś zawsze przy sobie książeczkę ubezpieczalni. Bez niej nie za-

aplikują ci zastrzyku, nie podadzą kropli, nie zabandażują palca. Sto różnych dokumentów nie ma znaczenia musi być książeczka, i to poświadczona na nowo co trzy miesiące przez dział kadr, który akurat pracuje w przeciwnym końcu Łodzi niż ty.

Tak więc kieszenie męskich marynarów sterczą wyzywająco jak biusty numer pięć. Jak to pozwolić sobie na wdzianko, kiedy w nim tak mało kieszeni? Słowo daję, że w największy upał nie wychodzę z domu w koszuli, bo musiałbym nosić w garści: tuzin dokumentów, dwie pary okularów (na dal i na bliź), notes, długopis, grzebień i lusterko, nie mówiąc o portmonetce z pieniędzmi. Najlepiej byłoby wprowadzić coś w rodzaju chlebaka żołnierskiego, przypiętego do paska. Ale pod warunkiem, że wszędzie będziemy wchodzić ubrani tym chlebakiem, do teatrów i kawiarni, do biur i na imienniny. Jeśli to nie chwyci — postuluję wzmocnienie kieszeni i podszewek w męskiej konfekcji, bo te co są nie wytrzymują ciężaru dowodów. Pamiętajmy: ilość legitymacji będzie wzrastać, bo taka jest dialektyka postępu!

ĆWIEK

NIE TYLKO HISTORIA

POSZUKIWANIA ŁÓDZKIEJ POLITOLOGII

Trzy tomy wydawnictwa Acta Universitatis Lodzensis — tak zwa się dziś dawne Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego — wszystkie opatrzone podtytułem „Nauki Polityczne” i wydane w bieżącym roku — to już sporo: ponad 400 stron prac, powstałych w młodym łódzkim środowisku politologicznym. Pierwszy z tych tomów — noszący w ramach serii I wydawnictw uniwersyteckich kolejną liczbę 23 — jest jeszcze owocem starań Międzywydziałowego Studium Nauk Politycznych UL, działającego w latach 1965—1976. Dwa następne, opatrzone odpowiednio numerami 30 i 34, ukazały się już pod firmą Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UL, placówki która postawiła sobie za zadanie zintegrowanie zarówno działalności naukowo-badawczej, jak i dydaktyczno-wychowawczej grup politologów z wielkich uczelni naszego miasta: Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej. Już sam fakt, że po zaledwie rocznej działalności Instytutu otrzymaliśmy do rąk dwa tomy powstałych w nim prac świadczy, że nowa ta placówka spełnia istotną rolę w aktywizacji badawczych poszukiwań łódzkiego środowiska politologicznego.

Politologia jest u nas najmłodszą z nauk społecznych, dyscypliną o której można z pewnością powiedzieć, że jest jeszcze „na dorobku”. Jej zadania dydaktyczne w systemie szkolnictwa wyższego są stosunkowo jasne; znacznie więcej dyskusji powstało wokół jej profilu naukowo-poznawczego. Bo cóż jest — pytano — przedmiotem tej nowej dyscypliny, skoro liczone z nauk społecznych od dawna zajmowały się najróżniejszymi zagadnieniami, związanymi jak najściślej z polityką i nie myślą zregulowania z ich uprawiania? Jakież są metody politologii w stosunku do tych metod, które w długim swym rozwoju wypracowały i wydoskonaliły inne, starsze i posiadające niekwestionowany dorobek wiedzy nauki? W miarę rozwoju badań politologicznych powstają przesłanki dla udzielenia odpowiedzi na te i inne jeszcze pytania, dotyczące nowej dyscypliny. Politologia wylania się coraz wyraźniej z kompleksu nauk społecznych, a przyspieszony ten proces można rozumieć jako funkcję wzrastającej w społeczeństwie roli w życiu społecznym tej sfery ludzkiej aktywności, którą od bardzo dawna określa się mianem polityki. Od tych zaś ludzi, którzy biorą na swe barki budowanie nowego kierunku nauki w wielkiej mierze zależy, czym on będzie, jakie zajmie miejsce w systemie nauk, jakie wreszcie będzie znaczenie politologii w życiu naszego kraju.

Zadania, stojące przed politologią są trudne, ale wdzienne i bardzo odpowiedzialne. Aby im sprostać, konieczna jest wycięta praca nad kształtowaniem i rozwojem kadry politologicznej. Rekrutuje się ona w swej większości z ludzi, którzy uformowali się w którejś z tradycyjnych dyscyplin społecznych, z socjologów, historyków, ekonomistów czy prawników. Większość z nich — a w szczególności młodzi — stają się dopiero politologami, a dokonuje się to przez ich codzienną pracę. W aktualnej sytuacji nie sposób z pełnym powodzeniem brać na warsztat wszystkiego na raz z tego, co uważamy za ważne. Trzeba umieć dokonać rachunku ambicji i możliwości, aby zintegrować wysiłki wokół wybranych grup problematyki o zasadniczym znaczeniu. Dopiero wykształcenie odpowiedniej — nie tylko pod względem ilościowym — kadry naukowej umożliwi osiągnięcie w przyszłości po wyższe, ambitniejsze cele.

Uniwersyteckie zeszyty politologiczne mają w tej sytuacji istotne znaczenie jako miejsce, gdzie w szczególności młodzi pracownicy nauki mają możliwość naukowego startu, zaprezentowania swoich pierwszych wyników badań, sprawdzenia się w druku. Nie oznacza to oczywiście, aby wydawnictwo to miało być zamknięte dla bardziej doświadczonych badaczy, samodzielnych pracowników nauki. Ci ostatni jednak mają z pewnością łatwiejszą drogę do druku, aniżeli młodzi, nie mający jeszcze wyrobionego nazwiska. Jest z pewnością pozytywnym zjawiskiem, że politologicznych tomików ukazało się w bieżącym roku aż trzy i że udzieliły one miejsca na prace osiemnastu autorów, z których większość, to młodzi pracownicy naukowi.

Jak przedstawia się ukięrowanie tematyczne tych prac? Sporo miejsca zajęły publikacje o charakterze historycznym (9 publikacji), przy czym — z jednym wyjątkiem artykułu o XVIII w. — dotyczy one dzieł polskich XX w., w szczególności zaś czasów Polski Ludowej. Nieco mniej znalazło się w omawianych tomikach prac z problematyki prawno-politologicznej (4 publikacje), przy czym większość z nich to studia Andrzeja Górbieta z zakresu niezmiernie dziś aktualnych zagadnień prawno-politycznych, związanych ze zdobywaniem przez człowieka obszarów kosmosu. W uniwersyteckich tomikach politologicznych znalazło się również miejsce na prace o charakterze socjologiczno-politologicznym czy ekonomiczno-politologicznym. Sporo miejsca poświęcono na komunikaty o badaniach, będących w toku, oraz bibliograficzną dokumentację dorobku pracowników naukowych.

Trzy wydane w tym roku tomiki prac łódzkich politologów stanowią z pewnością dobry początek. Prezentując na wstępie do zeszytu 30 cele tej publikacji, jej redaktor Stefan Wojtkowiak podkreślił, że zadaniem wydawnictwa jest „owocowe kształcenie pracowników nauki — politologów o wysokim poziomie wiedzy i oległym doświadczeniu społecznym”. Istnieją wszelkie warunki do tego, aby te piękne i ambitne zamierzenia się ziściły.

ANDRZEJ F. GRABSKI

PROPOZYCJE

SZEWCY I MARLBORO

Ludzie przyzwyczaili się, że eo jakiś czas czegoś w sklepach czy kioskach brakuje. A to baterijek do radia, a to papierosów „Klubowych”, a to skarpetek, a to butów. Ludzie tłumaczą sobie, że pewnie znów nie dowieźli i kiedy tylko pojawi się brakujący towar, kupują na zapas, bo znów mogą nie dowieźć. Ale czasem ludzie nurtuje pytanie: dlaczego raz nie dowożą tego, a innym razem znów tamtego? Reporter „Expressu Ilustrowanego” widąc też to pytanie nurtowało, bo zadał je komu trzeba.

Reporter „Expressu Ilustrowanego” zapytał, dlaczego brakuje w Łodzi papierosów „Klubowych” i „Marlboro”? Dowiedział się od osób kompetentnych, że papierosy te stały się bardzo popularne, a przemysł tej popularności nie potrafił przewidzieć. Dowiedział się również, że w innych rejonach kraju braki takie nie

występują. Łódź otrzymała w grudniu więcej „Klubowych” i wszystko powinno być w porządku. Jednak w sprawie braku papierosów „Marlboro” nie dowiedział się nie poza tym, że ich sprzedaż wzrosła w Łodzi i trzech sąsiednich województwach o 200 procent, a w reszcie kraju o 80 procent.

Tego rodzaju odpowiedź powinna dyskwalifikować handlowców w oczach ich zwierzchników. Cóż to za handlowcy, którzy nie analizują tempa ubywania zapasów, nie wiedzą, co na rynku idzie i o co trzeba szybko się starać, aby klient nie odchodził zawiedziony sprzed sklepowej lady. Niestety, wiem dobrze, że ta odpowiedź nikogo nie dyskwalifikuje w niczych oczach. Jako że przywykliśmy już do tego, że we wskaźnikach i sprawozdaniach wszystko się zgadza, a w życiu nie bardzo.

Po licznych artykułach pra-

sowych o stanie naszego przemysłu obuwicznego, za buty wzięła się telewizja. Bardzo mi się ta audycja podobała. A podobała mi się tym bardziej, że jej realizator poszedł nie tylko do producenta, ale pokazał rzeczywistość sklepową, gdzie pełno leżało zareklamowanych butów, zapytał o przyczyny tego producenta i szewca. W opinii dyrektora wszystkie było dobrze. Reklamacje uznane minimalne, choć buty leżały w sklepie z oderwanymi podeszwami. Takie same kozaczki po 1400 zł para, reperował szewc. Szewc bezbłędnie ocenił przyczyny złej jakości butów. Tak dobrze, że jego opinię podzielił... Instytut naukowy.

W tym momencie znów ktoś powinien był zostać dyskwalifikowany w oczach zwierzchników, skoro stało się to już w oczach klientów. Ale wiem, że tak się nie stanie, bo we

wskaźnikach wszystko jest w porządku. Wielokrotnie zdarzało się mi już czytać i słyszeć o bojach staczanych przez klientów w obronie własnej kieszeni, kiedy sprzedano im bubel, a oni próbowali go reklamować. Producent reklama, nogami oraz przy pomocy rzeczoznawców bronią się przed uznaniem reklamacji. Długo dźwiliłem się, dlaczego tak się dzieje. A przecież sprawa jest prosta. Uznane reklamacje psują wskaźniki, zamuszają o braz jakości produkcji. Przeważnie klient zgłasza reklamację, ale celem producenta jest reklamacji nie uznawać. A wszystko to dzieje się rzekomo dla dobra klienta, który podobno ma rację.

Byłoby nonsensem upatrywać wszelkie zło we wskaźnikach. Wskaźniki są potrzebne, mają ułatwiać działanie, przyczyniać się do kontroli prawidłowości tego działania. Czasem jednak odnośnie takie wrzenie, że niektórzy tego nie rozumieją, że poza wskaźnikami nie potrafia dostrzec ludzi, którym ma służyć wszystko to,

co robimy. W odpowiedziach na krytyczne uwagi często można spotkać się ze zdziwieniem krytykowanym. Dla nich nie ma problemu. U nich wszystko jest w porządku. We wskaźnikach oczywiście.

W „Życiu Warszawy” napisano kiedyś, że tylko w jednym punkcie napraw lodówek połowa tam oddanych była na gwarancji. A do ich naprawy brakowało części zamiennych. Producent lodówek „Szon” wprowadził przynajmniej, że w miesiącu średnio w Warszawie klient zgłaszał 190 lodówek w których trzeba było wymienić agregaty, ale to jest w stosunku do 10 tys. takich lodówek objętych gwarancją ilość niewielka. Jeśli chodzi o agregaty, to nie ich sprawa, a tylko zakładów „Predom-Eda”, które powinny je dostarczać bezpośrednio punktem usługowym. Huta „Silesia” z Rybnika natomiast chwali się, że w pierwszym półroczu 1977 roku ilość uznanych reklamacji spadła w porównaniu z pierwszym półroczem 1976 roku z 0,67 procent do 0,23 pro-

cent. A poza tym są kłopoty z termostatami, ale termostaty punktem usługowym dostarcza „Ardom” z Siedlec. Poza tym wszystko w porządku.

Winny zawsze jest ktoś inny. Współczesny przemysł, im bardziej staje się nowoczesny, tym bardziej wchodzi w układy kooperacyjne. Łańcuch powiązań powiększa się, ale też i komplikuje się. Wystarczy, że ktoś czegoś na czas nie dostarczy, że zmieni surowiec, bo mu zabrakło, a do sklepów przychodzi nie ten towar, który handel zamówił. Tak zwane podmiany są na porządku dziennym. We wskaźnikach wszystko się zgadza, tylko na półkach sklepowych nie bardzo. Uważam, że czasem warto wychylić się spoza wskaźników i uważnie przyjrzeć się ludziom. Wielkiemu producentowi obuwia nie przyniosłoby na przykład ujmy, gdyby zapytał szewców, jakie wady widzą w ich produkcie.

MARCIN RODAK